Nr. 23. **PRACA** Rok III.

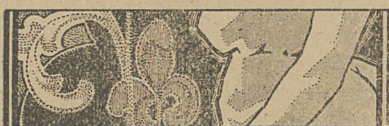
Dodatek handlowo-przemysłowy i rolniczy.

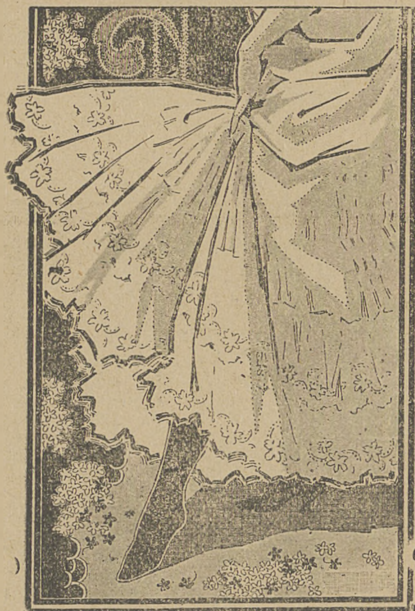
Urzędowy organ informacyjny dla Towarzystw i Spółek.

Telefon Nr. 295. *Właściciel i Wydawca: Marcin Biedermann.* Adr. tel.: **„Praca“ Posen.**

Wszelkie korespondencye należy adresować: „Do Redakcyi „Pracy“ w Poznaniu, Rycerska ulica Nr. 38.







O żywych płotach.

Każdemu gospodarzowi wiadomo aż nadto z praktyki, jak drogo kosztują dobre ogrodzenia sadów i ogrodów warzywnych a co gorsza trudno je w całości utrzymać i jak przez gnicie łatwo się psują i ciągłej reperacyi i nakładu wymagają. Z tych to powodów zaczęto u nas w wielu miejscach, a szczególniej na Szlązku, zasadzać żywe płoty, które dają się długie lata bez znacznych kosztów utrzymać i stanowią dobrą zaporę przed szkodnikami wszelkiego rodzaju, a nadto upiększają bardzo ogrody, szczególnie gdy są równo strzyżone. Pożądaną rzeczą byłoby u nas bardzo, aby się mogły więcej żywe płoty rozpowszechnić, a ulżyło by to w przyszłości bardzo gospodarzom w wydatkach na ogrodzenie.

Do obsadzania żywych płotów zaliczają różne gatunki drzew i krzewów, a mianowicie głóg pospolity, tarninę, grabinę, akacyę, berberys, agrest, morwę, kolcawój czyli kozioróg itp. Nie wszystkie jednak zarówno dobrze nadają się do tego celu, a najlepszym z tych wszystkich jest niezawodnie głóg i tarnina. Głóg daje najpiękniejsze żywe płoty, dające się najłatwiej prowadzić i są trwałe. Nasienie głogu uzbierane w jesieni i zasiane w szkółce zejdzie na wiosnę i w trzecim roku można już rośliny sadzić na miejsce przeznaczenia. Nasiona trzeba siać z mięsem nie bardzo gęsto i na dobrej ogrodowej ziemi. W ten sposób można się samemu młodych sadzonek dochować. Zapotrzebowanie sadzonek głogu w ostatnich latach tak się wzmogło, że wielu ogrodników, szczególnie niemieckich, pozakładali wielkie szkółki obsiane głogiem i można obecnie sadzonki głogu tak tanio dostać i to dwu lub trzyletnie, że chcąc zaoszczędzić sobie czekania i dochowywania się lepiej jest sprowadzić gotowe. Dwu lub trzyletnie sadzonki sadzi się na wiosnę w miejscu przeznaczenia tj. tam, gdzie mają utworzyć płot.

W tym celu należy już poprzedniej jesieni wzdłuż granicy wykopać rowek do 50 cm. głęboki a 40—50 cm. szeroki, wyrzucając ziemię na jedną stronę rowu. Z wiosną sadzi się głóg sprowadzony albo wyjęty ze szkółki dwoma rzędami odległymi od siebie 30 cm. obciąwszy poprzednio zbyt długie korzonki. Przy sadzeniu trzeba uważać, aby obydwa rzędy były prosto do sznura i starannie zasadzone, dając oddalenie roślin w rzędzie na 20 cm. i aby roślin nie sadzić w obydwu rzędach naprzeciw siebie, lecz naprzemian. Po zasadzeniu i po wyrównaniu ziemi, należy wszystkie sadzonki równo do wysokości 15—20 cm. ostrym nożem ściąć, poczem zlewa się ziemię mocno, aby do korzonków dobrze przystała. Gdyby ziemia z rowu wyrzucona była zbyt jałową, należy rów wybrać szerszy i podsypać ziemią ogrodową, do wyrzuconej zaś domieszać ziemi kompo-

stowej lub starej strupieszałej mierzwy stajennej.

Na słabszych ziemiach wogóle zaleca się zamiast dwóch rzędów zasadzić tylko jeden rząd. Tak zasadzony żywopłot potrzebuje jeszcze w pierwszym, a i w drugim roku po zasadzeniu lekkiego płotu ochronnego, w przeciwnym bowiem razie łatwoby uległ zdeptaniu i wogóle zniszczeniu. Skoro się sadzonki wypuszczą i utworzą nowe pędy, należy na każdym pniaczku pozostawić tylko dwa najsilniejsze pędy, resztę zaś jako niepotrzebne uszczknąć przy nasadzie. Gdy gałązki pozostawione już podrosną i nieco się wzmocnią, należy rozginać regularnie jedną w prawą stronę, drugą w lewą i przeplatać gałązkami sąsiednich drzewek podobnie rozłożonemi, przywiązując delikatnie łykiem do żerdzi płotu ochronnego. W ten sposób otrzymamy zazwyczaj już w pierwszym roku ładny splot płotu, byleby tylko w dalszym ciągu wzrostu w podobny sposób dalej go prowadzić i wszelkie nieregularności usuwać przez odpowiednie podwiązywanie. Płot taki potrzebuje w pierwszych latach wogóle więcej staranności tak w prowadzeniu jak i w nadsadzaniu zeschłych, nieprzyjętych lub zbyt słabo rosnących krzewów.

Gdy się już kształt płotu dobrze uformował, a poprzeplatane gałązki zrosły się z sobą, potrzeba tylko płot taki rok rocznie przycinać, aby pojedyńcze gałęzie nie wybujały zanadto, bo przez to straciłby płot na piękności i sile. Przycinanie takie uskutecznia się najlepiej wielkiemi nożycami w porze, gdy pierwszy pęd letni już swój rozwój kończy, co przypada u nas mniej więcej w lipcu. Wysokość płotu zawisła jedynie od woli właściciela; najczęściej jednak zostawia się go do $1^1/_2$ m. *Agricola.*

Przestroga dla rolników.

Wypadki, w których rolnicy bywają oszukiwani umyślnie fałszywie, albo niedokładnie podanemi sprawozdaniami agentów towarzystw wzajemnego zabezpieczenia od gradobicia, mnożą się tak bardzo (wspominamy tu pomiędzy innemi o licznych procesach oszukanych w ten sposób członków „Germanii“,) że zwracamy na nie uwagę naszym rolnikom. Każdy rolnik, zabezpieczony w takiem towarzystwie powinien sobie sam obliczyć mniej więcej wysokość premii. Podajemy tu obliczenia premii rozmaitych towarzystw z r. 1898, do których można się jako tako zastosować.

Allgemeine Deutsche Hagel-Versich. Gesellschaft	$65^1/_3$
Borussia	92
Ceres	$81^3/_4$
Germania (1888—1895)	$428^1/_2$
Hagelvers.-Bank f. D.	38
Hannov.-Branschw.	$50^1/_2$
Leipziger	$68^1/_3$
Norddeustch.	29
Patria	97
Preuss.	28
Schwedt	27.

G. M.

Handel drobny i bazary w Niemczech.

Od czasu gdy magazyny wielkie czyli tak zwane bazary, rozwinęły swoją działalność — handle drobniejsze traciły coraz więcej nabywców i często ginęły w walce konkurencyjnej z przeciwnikiem nierównie silniejszym.

Zaczęły się wtedy skargi w pismach, — radzono, podawano różne prośby do władz, żądając od nich zaradzenia złemu — ale wreszcie przekonano się, że żaden z tych środków nie pomaga.

Wtedy dopiero zrozumieli kupcy drobni, że pozostaje im jedna tylko droga: zawiązać odpowiednie stowarzyszenia, które mogłyby rozporządzać kapitałem większym i prowadzić handel na wzór magazynów wielkich.

Skutkiem nawoływań „Badeńskiej gazety rzemieślniczej,“ zawiązało się w Lipsku „Stowarzyszenie rękodzielników“; w Tybindze również zawiązano „Stow. rękodzielników południowo niemieckich“. W innych miejscowościach powstały takie same stowarzyszenia. Dotąd jakoś tylko rękodzielnicy je tworzą, co się tłomaczy tem, że bazary wielkie im przedewszystkiem dały się we znaki.

Należy jednak mieć nadzieję, że wkrótce i inni wytwórcy pójdą śladem rękodzielników.

Gdy stowarzyszenia podobne rozwiną się należycie, to będą mogły stać się instytucyami kredytowemi, udzielającemi kredytu taniego członkom swoim; wreszcie będą mogły dokonywać tranzakcyi handlowych za gotówkę, co jest jednym z warunków powołania magazynów wielkich i bazarów.

Ciągłe pożyczanie i robota na kredyt ogromnie w Niemczech rozwinięta — bardzo niekorzystnie wpływa na stan handlu drobnego i rzemiosł. A u nas czyż jest inaczej?

Właściciele sklepów w Berlinie wpadli na pomysł następujący w celu wytworzenia konkurencyi bazarom: mają oni zamiar urządzić rodzaj wspaniałego bazaru wielkiego, ale złożonego z wielu sklepów pojedyńczych.

Jeżeli ten bazar wspólny będzie prowadzony na wzór istniejących już bazarów, to można mu wróżyć powodzenie.

Właściwie kupujących najczęściej przyciąga do bazaru nie dobroć towaru (często tandety), tylko piękne urządzenie sklepu i wystawy; często bardzo wchodzi się do bazaru po jeden jakiś przedmiot, a kupuje się prócz niego kilka innych, które nam uprzejmie pokazał i zachwalił sprzedający.

Związek handlarzy wyrobów żelaznych w Niemczech pragnie innym sposobem współzawodniczyć z bazarami: chce on zobowiązać fabrykantów dostarczających wyrobów do sklepów związku, aby nie dostarczali wcale wyrobów swoich do bazarów.

Ten środek jednak można stosować tylko tam, gdzie z jednej strony związek kupców-detalistów może sprzedać wszystkie wytwory fabryk, i prócz tego i tam także, gdzie związek da fabrykantom przynajmniej takie same warunki, jakie dają bazary wielkie, a głównie zapłatę gotówką; z drugiej zaś strony — i tam, gdzie bazary istniejące nie mają tyle kapitałów, aby mogły wziąść w swoje ręce produkcyę towaru, którym handlują. Zdaje się, że daleko skuteczniejszym środkiem byłoby zawiązanie stowarzyszenia, w celu rociągnięcia kontroli nad bazarami, bacząc, ażeby gatunek i wartość rzeczywista towaru odpowiadały cenie sprzedaży, jakoteż, aby przedsiębiorstwo było wogóle prowadzone uczciwie. Słyszymy ciągle narzekania i skargi na blagę i oszustwa w wielkich magazynach, ale mało mamy faktów i dowodów rzeczowych, którebу mogły wykazać, że takie i takie oszustwo popełniono w tym lub owym magazynie.

Stowarzyszenie, o jakiem mówimy, ogłaszałoby swe spostrzeżenia publicznie, co uchroniłoby bazary sumiennie prowadzone od nieuzasadnionych podejrzeń, a nie pozwoliłoby panoszyć się oszustom i wydrwigroszom. Wtedy dopiero możnaby oszustów pociągać do odpowiedzialności prawnej. Niezależnie od tego przypuszczać należy, że stowarzyszenia handlujących drobniejszych w rodzaju powyżej wspomnianych, są także środkiem skutecznym w walce przeciwko bazarom przeważnie tandeciarskim. *G. Z*



Z praktyki kupieckiej.

Wymiana akceptów. Często można czytać w gazetach codziennych anonse, w których szukają lub ofiarują ludzie w niewinny na pozór sposób wymiany akceptów, kredytu akceptów i t. p. Inseraty takie, umieszczane przez pośredników i ludzi niezdolnych do wypłat, mają pod rozmaitemi tytułami zawsze to same znaczenie, a mianowicie: wzajemną wymianę weksli. Jest to właściwie trudnem do uwierzenia, żeby kupiec, znajdujący się w chwilowym ambarasie pieniężnym, uciekał się do podobnych środków, jeżeli sam sobie powiedzieć musi, że firma, mająca kredyt, na żadne wymiany nie przystanie, a wymiana z podejrzaną firmą naraża go na straty. Bo niepewna firma bardzo rzadko spłaca akcept, zamiast więc jednego, będzie miał dwa weksle do pokrycia. Ale skoro zaczął już raz owe zamiary, to cofnąć się nie może — musi zawiązywać ciągle nowe stosunki, aby się starać o pokrycie własnych weksli i strat — i gdy już dalej nie idzie, nie pozostaje mu nic innego, jak ogłoszenie konkursu. Znaczna część konkursów wykazuje takie operowanie wekslami, i żałować tylko należy, że prokuratorya nie zawsze się o tem dowiaduje, bo często bywają zamiany przyjmowanemi dlatego, że ludzie uważają je za weksle odbiorców, dla tego po największej części znajdują się fenygi podane. Dzieje się to jedynie w celu złudzenia łatwowiernych. Oprócz osób, nie mogących wypłacić, a dosyć ostrożnych, aby w zamian za niepewne brać tylko dobre weksle, mają pośrednicy, biorący 2% prowizyi za wystaranie się o takie weksle, bardzo znaczny zarobek przy zamianach, niektórzy stoją się rocznie na 10,000 mk. dochodu! Gazety nie powinny takich anonsów przyjmować — tym jedynie sposobem można w części chociaż złemu zapobiedz!

Czy kupcy powinni być zawiadowcami konkursów? Ministeryum sasko-meiningskie wydało rozporządzenie, na mocy którego wszystkie książęce sądy okręgowe mają się porozumieć z izbami handlowemi Księstwa, aby się w danym razie postarać o odpowiednie osobistości na zawiadowców konkursów kupieckich. Rozporządzenie to dowodzi ścisłego rozpatrzenia się w odnośnych stosunkach, bo najważniejsze czynności zawiadowcy konkursu, np. inwentura masy, wyprośrodkowanie jej wartości, przygotowanie bilansu, ściąganie należności na korzyść masy, sprawozdanie tyczące się przyczyny konkursu i t. p. wymagają kupieckich wiadomości, a najczęściej nawet dokładnej znajomości gałęzi interesu dłużnika. Jest więc zupełnie jasnem, że osoby, które się zawodowo zajmują wymianą towarów i pieniędzy, o wiele więcej są zdolne do załatwienia istniejących przy konkursach trudności i do korzystniejszego zużytkowania powierzonej im masy, niż osoby, należące do innych klas zawodowych. Zdaje się, że ministeryum wydało to rozporządzenie na prośbę związku kupieckiego w Meiningen.

Samopomoc przeciw bazarom. Średni i mniejsi kupcy łączą się coraz to więcej w celu walczenia z olbrzymiemi przedsiębiorstwami, z któremi wszelka rywalizacya pojedyńczego kupca wprost jest niemożliwą. Usiłowania kupców bywają często pomyślnym uwieńczone skutkiem. W Mogucyi utworzył się niedawno związek wszystkich kupców towarów żelaznych, zamierzających podjąć walkę z olbrzymiemi bazarami. Zamiast zwracać się z nieustannemi skargami do rządu, żądają członkowie tego stowarzyszenia, aby się ci fabrykanci, którym zależy na dostawianiu im towaru, zobowiązali, że bazarom i t. p. przedsiębiorstwom niczego dostarczać nie będą. Fabrykanci, którzy się na żądanie to zgodzić nie chcą i piśmiennie swoją odmowę potwierdzają, nie mogą już wcale liczyć na pozyskanie odbiorców pomiędzy kupcami, należącymi do związku. Nazwiska ich są spisane na osobnej liście, a fabrykanci, dostarczający towary kupcom związkowym, zaopatrują podróżnych w karty legitymacyjne tak, że omyłka jest niemożliwą. Ponieważ postępowanie to kupców nie jest karygodnem i ma na celu jedynie obronę egzystencyi, nie przekracając dozwolonych w niej granic, przeto powinni kupcy w innych gałęziach uczynić tak samo, a niejeden uniknąłby szczęśliwie grożącej mu ruiny majątkowej. *Mercator.*

Nowa taryfa towarowa.

Nowa taryfa towarowa, zaprowadzona na wszystkich niemal kolejach w Niemczech od 1-go października r. z., podług której jest zniżoną opłata frachtu na odległość 50 kilometrów, odnosi się tylko do przesyłek pospiesznych (Eilgut) i do przesyłek pojedyńczemi sztukami (Stückgut), podczas kiedy wszystko inne pozostaje niezmienionem. Ale ponieważ nowa taryfa za ogólne przesyłki sztukami na dalsze odległości jest niższą niż taryfa za bliżej oznaczone sztuki, przeto okazała się potrzeba zniżenia tej taryfy także. Mamy więc i tutaj nową taryfę niższą i to począwszy od odległości 729 kilometrów. Obecna różnica pomiędzy obydwoma taryfami przesyłek sztukami (1,10 fen. i 0,80 fen. za każde 100 kgr. za 1 kilm.), a cena zwiększała się za każde 50 kilm. o 15 fen., więc na odległość 1000 kilm. 3,00 mk. za 100 kgr., ustaje teraz wogóle.

Zmiana taryfy jest następującą:

Odległość kilm.	Dawniejsza taryfa. Ogólna przesyłka sztuk fenygów	Dawniejsza taryfa. Oznaczonych sztuk fenygów	Dawniejsza taryfa. Różnica fenygów	Teraźniejsza taryfa. Ogólna przesyłka sztuk fenygów	Teraźniejsza taryfa. Oznaczonych sztuk fenygów	Teraźniejsza taryfa. Różnica fenygów	Zniżona taryfa fenygów
150	185	140	45	175	140	35	—
200	240	180	60	225	180	45	—
250	295	220	75	270	220	50	—
300	350	260	90	315	260	55	—
350	405	300	105	355	300	55	—
400	460	340	120	395	340	55	—
450	515	380	135	430	380	50	—
500	570	420	150	465	420	45	—
550	625	460	165	495	460	35	—
600	680	500	180	525	500	25	—
650	735	540	195	555	540	15	—
700	790	580	210	585	580	5	—
750	845	620	225	615	615		5
800	900	660	240	645	645		15
850	955	700	255	675	675		25
900	1010	740	270	705	705		35
950	1065	780	285	735	735		45
1000	1120	820	300	765	765		55

Podług tego kosztowałaby np. przesyłka z Kolonii do Wrocławia (855 kilometrów) w wadze 325 kgr. od kgr. od 1-go października r. z. na mocy taryfy za bliżej oznaczone sztuki 22,40 mk., podczas kiedy fracht kosztował dotychczas 23,10 mk., a zatem 70 fen. więcej. Ale dawniejsza przesyłka, ta sama, na ogólne sztuki kosztowała dawniej 31,70 mk., różnica była zatem o 8,60 mk. *Kolejarz.*

Drobne wiadomości.

Rolnictwo.

Elektryczność w rolnictwie. O elektryczności, jako o środku pomocniczym w rolnictwie i hodowli drzew owocowych, podaje prof. Selim Lemström z Helsingforsu następujące sprawozdania, oparte na ścisłych naukowych doświadczeniach: „Elektryczność wywiera dobroczynny wpływ na rozwój roślin. Wpływ ten nie jest pośrednim, tylko bezpośrednim, bo elektryczność, przechodząc powietrze, wytwarza ozon". Lemström uzasadnia swoje twierdzenie doświadczeniami, które robi od r. 1882 na Spitzbergen w Finlandyi i Południowej Francyi. Próby odbywały się w taki sposób: Nad roślinami rozciągnięto izolowaną siatkę z drutów metalowych, zaopatrzonych w mosiężne końce. Siatka była połączoną z pozytywnym biegunem Holtza maszyny elektrycznej, której biegun negatywny był przeprowadzony w ziemię. Badania doprowadziły Lemströma do tego przekonania, że zjawiska elektryczne, tak częste mianowicie w północnych okolicach stoją w związku z silnem rozwijaniem się roślinności. To samo spostrzeżenie zrobił przy swych doświadczeniach we Francyi, rezultat zaś zawsze był równy. Rozwój rozmaitych roślin można przyspieszyć elektrycznością, tak samo ulepszyć smak owocu i woń kwiatów. Ale siła działania elektryczności musi się zawsze stósować do rośliny, bo przy za wielkim wpływie elektryczności można osięgnąć rezultat negatywny. Pytanie tylko, czy i u nas będzie można używać elektryczności w rolnictwie i ogrodownictwie z równie pomyślnym skutkiem?

Mak potrzebuje piasczystej ziemi glinianej albo marglowej, dobrze umierzwionej, głównie zaś azotu. Najlepiej siać mak po roślinach okopowych, ponieważ z początku rozwija się bardzo wolno i chwast i zielsko zagłuszyłoby go zupełnie. Dobrym przedplonem jest także koniczyna. Mak do wysiewu miesza się zwykle z miałkim piaskiem i sieje rzutowo (3 kilogr. maku, 3 kilogr. piasku, na siew rzędowy od 30—50 cm. 6 kilogr. maku i 12 kilogr. piasku na 1 hektar.) Nasienie musi być przykryte bardzo płytko za pomocą brony, podplecionej tarniną. Mak jest rośliną okopową, trzeba go więc 2—3 razy okopać ręcznie, a potem za pomocą konnego wypielacza, w końcu lekko osypać. Przy drugiem skopaniu przerywać mak w rzędach na odległość 15—20 cm., inaczej małe będzie miał główki. Słoma maku żadnej nie ma wartości, więc najlepiej przyorać ją zaraz.

O nawozie pod buraki pastewne. Profesor dr. Merker z Halli jest tego zdania, że używanie wyłącznie tylko nawozów sztucznych nie wyda w burakach najwyższego plonu. Nawóz sztuczny bardzo wprawdzie się przyczynia do podwyższenia zbioru, ale do osiągnienia najwyższych rezultatów jest bezwarunkowo potrzebnym nawóz stajenny albo nawozy zielone.

Zimowy owies aklimatyzuje się u nas coraz lepiej. Zboże to zdaje się być przeznaczonem na wypełnienie istniejącej dotąd próżni w rolnictwie. Ale trzeba najpierw kilka razy próbować, zanim się rezultat osięgnie.

Perfumowane masło, najnowsza moda amerykańskich bogaczy. Robi się to w ten sposób, że masło kładzie się pomiędzy świeże liście róży. Tłuszcz przyjmuje, jak wiadomo, bardzo prędko wszelki zapach, więc też masło nabiera pięknej woni, ale poniewaz bardzo do tego wiele potrzeba róż, przeto rzecz ta, mianowicie w zimie, dosyć jest kosztowną.

Hodowla zwierząt.

Na wiosnę zapadają konie zwykle na chorobę gruczołów. Gruczoły puchną, z nosa koni płynie gęsta ciecz i konie kaszlą bardzo wiele. Chorych koni można używać do roboty, ale trzeba je trochę ochraniać, jeżeli zaś mają febrę i nie chcą żreć, w takim razie trzeba je zostawić w stajni. Choroba ta nie jest niebezpieczną, skoro ją się jednak zaniedba, może się stać bardzo groźną.

Wytępienie wszy owczej. Włożyć do owczarni dosyć dużo nawozu stajennego, a owce pozbędą się wnet swoich dręczycieli.

Drób.

O urządzeniu hodowli drobiu. Większa część tych, którzy zamierzają zająć się hodowlą drobiu, sądzi, że skoro postarają się o kury, o jaja i wszystkie potrzebne aparata, to już sprawa załatwiona. Gdyby zawsze można tak łatwo nabierać doświadczenia! Ale doświadczenia kosztują i czasu i pieniędzy, i wytrwałości i cierpliwości. Z hodowlą drobiu dzieje się tak samo jak z hodowlą królików. Jeżeli początkujący nie ma od razu powodzenia, to traci cierpliwość i dowodzi, że hodowla drobiu nie opłaca się i że to wszystko jest po prostu „humbugiem", że kury nie znoszą jaj na rozkaz, a maszyna do wylęgania nie jest maszyną do kawy, którą tylko potrzeba postawić na ogniu, aby mieć w 10 minutach kawę gotową. Przypuszczenie, że każdy sprzedający ptaki do chowu oddaje co ma najlepszego, jest także bardzo optymistyczne, również jak i przekonanie, że jaja ptaków rasowych wydają zawsze ptaki najlepszego kalibru. Kto o tem pamięta, ten dozna w hodowli drobiu mniej rozczarowań, będzie ostrożniejszym i nie straci tak prędko cierpliwości. Najlepsze rezultaty pochodzą z małych początków. Chcąc mieć dobre ptaki do chowu, trzeba je najpierw samemu wychować — potem jest sprawa ta o wiele już łatwiejszą.

Kaczki muszą dostawać codziennie zieleninę. Jeżeli nie ma świeżej trawy, to dać im posiekanej koniczyny, żółtych buraków i t. p. Tak samo dawać im, jeżeli nie ma w bliskości stawu, trzy lub cztery razy dziennie świeżej wody. W naczyniu z wodą musi być zawsze pokład piasku, bo kaczki potrzebują go koniecznie do strawienia.

Ptaki pokojowe.

Przypominamy raz jeszcze, że codziennie trzeba zaglądać w gniazdka kanarków, jeżeli młode mają się szczęśliwie wylęgnąć. Tym tylko sposobem można zapobiedz rozmaitym wypadkom; stłuczone jaja wyjmować natychmiast, zabrudzone oczyścić, wykulnięte z gniazdka położyć na właściwem miejscu i t. d. Zdarza się często, że jedna samiczka spędza z gniazdka drugą i jajka wyrzuca, albo że zepsute jajko rozpada się i zanieczyszcza całe gniazdko — takich wypadków jest mnóstwo i nie można dosyć zachować ostrożności, aby zapobiedz złemu.

O trzymaniu ptaszków śpiewających w klatkach. Jest to okrutny zwyczaj, głęboko niestety zakorzeniony, że co rok chwytają ludzie niezliczoną ilość leśnych ptaszków i zamykają je w brudnych i ciasnych klatkach. I wtedy dziwią się, dla czego ptaszki siedzą smutne, dla czego nie chcą śpiewać, jeść i w końcu giną marnie. Najpiękniejszą klatką naszych skrzydlatych śpiewaków jest las zielony i obszerne pole, gdzie mogą się swobodnie poruszać i żyć bez przymusu. W niewoli tracą wesołość i oddane na łaskę i niełaskę właściciela, bywają często zapomniane i umierają z głodu, a mianowicie z pragnienia. Niejeden „lubownik" ptaszków zostawia klatkę dniem i nocą na dworze, nie zasłaniając jej ani przed palącemi promieniami słońca, ani przed deszczem lub wiatrem. Prawdziwy lubownik ptaków nie powinien tak postępować — bo jeżeli nie może się

obchodzić z niemi, tak jak należy, to lepiej, aby ich wcale nie trzymał.

Pszczoły.



O łączeniu roji. Każdy bartnik powinien zważać na to, aby nie mieć słabych roji, musi je więc łączyć ze sobą. Ale pomimo, że rzecz ta wydaje się bardzo łatwą, to jednak zdarzają się czasem pomiędzy obydwoma rojami formalne bitwy, kończące się śmiercią setek pszczół. Dobry a pojedyńczy sposób łączenia dwóch roji podaje nam pewien amerykański bartnik. Otóż dzień poprzednio trzeba jednemu rojowi odebrać matkę — obydwa strząsnąć potem do nowego mieszkania, w które kolejno zawieszać węzę obydwóch roji. Łączenie odbywa się bardzo prędko i łatwo i pszczoły w wielkiej żyją z sobą zgodzie.

Znaczenie matki. Gdzie dwie pasieki stoją blizko siebie, tam właściciele sprzeczają się często o rój, którego pochodzenia nie znają. Każdy ma pretensyę do niego. Chcąc więc zapobiedz sprzeczkom i nieporozumieniom, trzeba matkę naznaczyć, a jeden z pszczearzy szwajcarskich taki na to podaje sposób: wziąść cieniuteńki pendzelek i zrobić na rzy piersiowej matki maleńki znak dobrym taejem rybim — drugim zaś pędzelkiem naklchmiast napuścić odrobinę jasnej farby tyodnej. Matka jest wtedy naznaczoną raz wa zawsze, i tym sposobem można też *dokładnie kontrolować* jej wiek. *R.*

Wiadomości
dotyczące
handlu, przemysłu i rolnictwa.

Nowe firmy i przedsiębiorstwa.

Poznań. Budowniczy pan *Ludwik Frankiewicz* otworzył świeżo własną cegielnią, którą założył na zakupionych od gospodarzy górczyńskich gruntach. Cegielnia ta leży na granicy Kotowa i Górczyna, a założoną została na wielką skalę i z wszelkiemi najnowszemi ulepszeniami, tak że zdolna będzie produkować rocznie blizko 4 miliony cegieł. Mamy obecnie pod Poznaniem kilka polskich cegielni, a wszystkie prosperują.

Panowie *Fligierski i Musielewicz* otworzyli w mieście naszem przy ulicy św. Marcina nr. 29 skład machin i narzędzi rolniczych z powszechnie znanych zjednoczonych fabryk Feliksa Huebnera w Lignicy, oraz z innych renomowanych fabryk krajowych i zagranicznych.

Szczęść Boże!

KONKURSY.

Ogłoszono konkurs nad majątkiem: piekarza p. Karola Luxenburga w Inowrocławiu, kupca p. St. Arndta w Żninie, kupca pana Otona Bonina w Bygoszczy, kupca i kuśnierza p. Zbirańskiego w Poznaniu, kupcowej, wdowy p. Skwierczyńskiej w Krobi, kupcowej p. Liny Schendel w Kłecku, kupca, p. Wolffa Hoppe'go w Obornikach.

Wyłączenie wspólności majątku i dorobku.

Posiedziciel dóbr rycerskich p. Teodor Mańkowski z Rudek w powiecie Szamotulskim i panna Anna Michałowska z Dobrzechowa w Galicyi. — Kupiec p. Piotr Bresiński z Poznania i wdowa pani Władysława Szokalska z domu Mądroszkiewicz z Inowrocławia. — Kupiec p. Stanisław Caesar i panna Jadwiga Norkowska, oboje z Inowrocławia. — Kupiec p. Mikołaj Dankowski z Kruświcy i panna Helena Powałowska z Kolonii Chełmce. — Kupiec p. Stanisław Michałkiewicz i żona Jadwiga z domu Bogulska z Wągrówca, dawniej w Żerkowie zamieszkali. — Posiedziciel dóbr p. Zygmunt Preibisz z Mokronosa i panna Helena Preibisz z Kunowa.

Jarmarki na wełnę.

Jarmark na wełnę odbędzie się w Poznaniu dnia 13 i 14 czerwca; w Lignicy i Stralsundzie dnia 7 czerwca; w Świdnicy d. 8 czerwca; w Wrocławiu d. 9—10; w Toruniu i Landsbergu d. 14; w Szczecinie d. 17; w Tyłży i Królewcu d. 20—22 czerwca.

Dział kobiecy.

Rady dla podróżujących.



Lato się zbliża i w sercach ludzi zaczyna się odzywać głośno chęć wyjrzenia na świat daleki. Mianowicie mieszkańcy miast pragną opuścić na czas pewien duszne i gorące mury i odetchnąć świeżem powietrzem. Jednem słowem wybierają się wszyscy w podróż, na wieś, do wód, w góry, a w domu rozpoczyna się na gwałt szycie, rozmaite przygotowania i — liczenie wydatków. Tym szczęśliwym, którzy nie potrzebują „obrucić 10 razy grosza, zanim go wydadzą“, udzielanie rad byłoby zbytecznem, ale ileż z pomiędzy nas, w dzisiejszych czasach, może wydawać pieniądze bez ścisłego obliczenia najmniejszej drobnostki. Podróżowanie zaś jest rozrywką tak miłą i pożyteczną, że niejeden i niejedna woli zrzec się czegoś innego, byleby latem mianowicie módz zwiedzić piękne okolice. Szanowne czytelniczki pozwolą więc, że im damy kilka rad i wskazówek, w jaki sposób urządzić się tanio i praktycznie z garderobą, która przecież ważną w podróży odgrywa rolę.

Panie, które nie wybierają się do wytwornych wód, tylko chcą zwiedzać okolice i miasta, powinny przedewszystkiem zaopatrzyć się w zgrabnie zrobiony kostium podróżny z kaftankiem, z materyału sukiennego, serge, albo chewiotu. Bardzo piękne są obecnie materye takie, koloru szaro niebieskiego, żółto brązowego, albo popielato zielonego, przypominające pewien rodzaj kolorów pastelowych, jak gdyby wypłowiałych. Materye te nie tracą nic ani pod wpływem słońca, ani deszczu, pyłu nie znać na nich, posiadają zatem wszystkie przymioty ubrania podróżnego. Spódniczka, obcisła na biodrach, rozszerza się miernie ku dołowi, i obszyta łukowato jest ciemniejszą, na palec szeroką tressą. Kaftanek z wysokim kołnierzykiem ma formę fraka, i również obszywany jest tressą.

Do tego kostiumu potrzeba mieć z 6 kolorowych bluzek płóciennych w rozmaitych kolorach, co zawsze wygląda ładnie i świeżo. Najmodniejszemi, i „najszykowniejszemi“, w Anglii obecnie, są bluzki z białej albo innej, bardzo jasnej piki, (te się noszą bez kaftanka) ozdobione w przodku kilku rzędami á jour haftowanych dziurek do sznurowania. Przez te dziurki, oddalone od siebie na 1 centymetr, przeciąga się wązką czarną aksamitkę, a czarna atłasowa krawatka à la regatta, uzupełnia strój, zupełnie nowy i modny. Oprócz sukni podróżnej trzeba mieć koniecznie dwie suknie fulerowe, jedną ciemną, na promenady i t. d., drugą jasną, na wypadek jakiejś wizyty, koncertu i t. p. Fular jest lekki, nie drogi i praktyczny i zawsze elegancko wygląda. Widzieliśmy jednę taką suknię w magazynie p. S. z fularu ciemnozielonego w jasne grochy. Spódnica składała się z dwóch falban, oszytych angielską koronką. Stanik był: kaftanek bolero i westka z bladoróżowej krepy. Do tego toczek z zielonej słomki i pęku róż różnokolorowych, z strony zaś podniesionej wielka zielona aksamitna kokarda. Wszystko razem bardzo ładną tworzyło całość.

Do kostiumu podróżnego nadaje się wybornie zawsze modny, skromny i praktyczny kapelusz marynarski, który w tym roku jest z dwukolorowej słomy, z wysoką główką i rondem, ujętem w szeroki pas aksamitny. Przybranie składa się z wstążki w około główki i dużej, płaskiej kokardy, przepiętej ładną, stalową agraffą. Panie, jadące do wód muszą mieć jeszcze szlafroczek wełniany i perkalowy, suknię perkalową do wycieczek po lasach i suknię wieczorkową, najlepiej z białej alpaki, która w tym roku bardzo jest na ten cel używaną. Biała alpakowa suknia, ubierana białym jedwabiem i czarnemi albo ciemnemi aksamitkami, należy dziś do szyku, i noszą ją nietylko panny i młode mężatki, ale nawet i starsze.

Bielizny radzimy zabierać jak najmniej. W każdym hotelu można ją dać do prania, i w przeciągu 24 godzin otrzymujemy ją wypraną i wyprasowaną, a chociaż to może kilka groszy więcej kosztuje, niż pranie w domu, to nie potrzeba jednak tyle kufrów i paczek, i nie ma się żadnego ambarasu z brudną bielizną. Pończochy brać najlepiej zupełnie

tanie i po 2—3 dniach wyrzucić je po prostu, tak przynajmniej robią zawsze Angielki i twierdzą, że to najpraktyczniej.

Co do rękawiczek i bucików, to już rzecz gustu, wszyscy jednak używają zwykle trzewików żółtych a rękawiczek duńskich lub jedwabnych, ale tych już w najlepszym gatunku, co trochę drogo wypada. Ostatecznie pamiętać trzeba o parasolce „en tout cas“, o ile możności jasnej, ponieważ materye jasne można doskonale wyprać mydłem i szczotką, i zawsze wyglądają, jak nowe. Najmodniejsze są w zieloną i niebieską kratkę. Przy rękojeści zawiesić malenką portmonetkę. Jest to bardzo wygodnie, można w nią włożyć trochę drobnej monety i nie potrzeba sięgać do kieszeni, a wiemy pewnie wszyscy z doświadczenia, że podróżując, trzeba nieustannie mieć pod ręką „drobne“.

Usposobienie kobiety.

Charakter mężczyzn zwraca się więcej ku energii, sile, gwałtowności i dążeniu do celów zewnętrznych. W zupełnem przeciwieństwie do tego stoi charakter kobiety: wytrwałość, skłonność do łączności, stałość i łagodność są głównymi jej przymiotami.

Różnice usposobienia mężczyzny i kobiety są bardzo wielkie i okazują się w najrychlejszej młodości obojga. Dziewczynka dwuletnia czuje już skłonność do okazywania współczucia i troskliwości dla innych. Pierwszą i najmilszą jej zabawką jest lalka — przedmiot przedstawiający istotę ludzką — i tej to lalce okazuje miłość i serdeczne przywiązanie. Myje ją, ubiera dziś tak, jutro inaczej, i pielęgnuje ją niezmordowanie w urojonych chorobach. Obchodzi uroczyście jej imieniny i wymyśla rozmaite niespodzianki. Chłopiec w tym wieku bawi się wesoło z towarzyszami, kłóci się, bije z nimi i odważa się raz po raz na jabłka z sąsiedniego ogrodu. Zdarza się często, że dziewczynka, mając lat 7, już się odznacza cnotami domowemi. Pracuje na wyścigi z matką i dogląda z całem poświęceniem się chorego braciszka lub siostrzyczki. To przypomina przedwczesne rozwinięcie mózgu kobiecego, z którego powstaje wielka skłonność do nadzmysłowego życia.

Różnica charakterów uwydatnia się więcej jeszcze przy wyborze żony lub męża. Angielskie przysłowie mówi: „kobiety kochają uszami, mężczyźni oczami“. Dosłownie nie trzeba tego brać, bo nie wątpimy, że młoda dziewczyna patrzy z przyjemnością na białe zęby i czarny wąs swego sąsiada. Ale od 40 lat znam to przysłowie i zauważyłem, że kobiety cenią wyżej umysł i dobre zasady u mężczyzn, niż mężczyźni u kobiet. Młoda, nie zepsuta dziewczyna stawia po nad wszystko moralność i dobre obyczaje swego przyszłego męża, to też zdarza się często, że mężczyzna brzydkiej twarzy zdobywa serce pięknej kobiety. — Piękna Desdemona oddała swą miłość brzydkiemu Murzynowi — pokochała go dla jego waleczności i męztwa.

„Kocha mnie, bo zwyciężyłem niebezpieczeństwa — są to jedyne czary, jakich użyłem“, mówi Othello do księcia.

A Desdemona dodaje:

„Dla mnie była twarz Othella jego charakterem, a jego sławie i rycerskości poświęciłam duszę i szczęście!“

Podobnie brzmią słowa Goethego: „Bądź delikatnym i uprzejmym dla kobiet, a daję ci słowo, że je zdobędziesz!“ Byłoby zbytecznem przypominać o czynnościach poświęcenia matki, znoszącej wszystko cierpliwie i chętnie, oraz o ciężkiej nieraz pracy gospodyni domu. Ale patrzmy na kobiety niezamężne i na mężczyznę nieżonatego. Kobieta z smutkiem i troską patrzy w przyszłość samotną — dla niej bowiem walka o byt trudniejszą jest, niż dla mężczyzny. Ale po trzydziestym roku zapomina o swych marzeniach szczęścia i staje się dosyć silną, aby jako stara panna znosić kłopoty i wyrzec się wszystkich pragnień i życzeń młodości. Harmonia wewnętrznego życia daje jej wystarczający punkt oparcia w samej sobie i gdzie tylko ma sposobność pomagania komuś dobrowolnie, lub gdy musi przyjąć miejsce, albo pracować na utrzymanie w inny sposób — zawsze staje się pożyteczną i nie jest nikomu ciężarem. Szkoda by nawet było, gdyby stare panny nie istniały. Są one czasem tak miłe i wesołe, że innym uprzyjemniają życie i mają bardzo wiele prawdziwych przyjaciół.

A stary kawaler? Nie mówimy tu o tych, którzy dla tego nie ożenili się, aby być podporą innym, albo dla innych jakich idealnych powodów. Wszyscy inni są dziwakami, albo staną się nimi bardzo prędko. Najpierw tracą miłość dla bliźnich, a potem ufność w ludzi, i zamieniają się w samolubów. Unikają towarzystwa, rozmyślają nad najrozmaitszemi rzeczami i lubią się kłócić o byle drobnostkę. W końcu zapadają na urojone choroby i są nieznośnymi pacjentami.

Często wydziedziczają krewnych i zapisują ciężko zapracowane pieniądze zupełnie obcym.

Łagodność i słodycz charakteru, to najpiękniejsze ozdoby kobiety.

Kobieta zważa pilnie na wymagania innych i zgaduje życzenia tych; do których jest przywiązaną. Serce jej pełne jest współczucia, uprzejmości, ma łatwość w obejściu, zna się na żartach, i umie się do wszystkiego zastósować. „Ja wolę sto razy córki,“ mówi Aleksander Humboldt. „Chciałbym ich mieć jak najwięcej! Córka, to istota dająca nieskończone szczęście. Czujemy razem z nią i widzimy w niej nasze własne „ja.“ Kobiety łączą zręcznie najsilniejsze i najlżejsze węzły życia, co się mężczyźnie rzadko kiedy udaje.

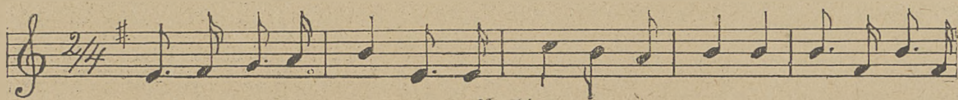
A gdy życie ma się ku schyłkowi, któż sobie może powiedzieć, że więcej łez otarł, mężczyzna, czy kobieta?

P.....
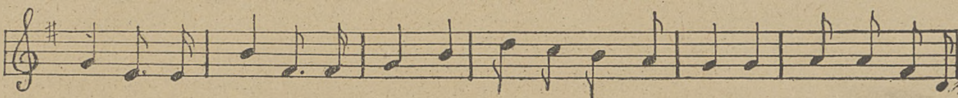


Dział muzyczny.

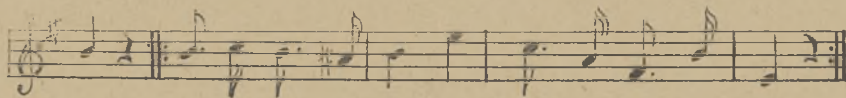
Prządki. *St. Moniuszko.*



1. U prząśniczki sie-dzą jak anioł dzie- we-czki, Przędą sobie
2. Do Kró-lew-ca jec-hał mło- dzieniec z wi- ci- ną, Łzami się za-
3. In- ny się mło- dzieniec przy- su- wa z u- bo- cza I innemu



1. prze-dą jak jedwab ni- teczki. Kręć się, kręć wrze- ciono, wić się tobie
2. le- wał że- gnając z dziewczyną. „ „ „ „ „ „ „
3. ra- da dziew-czy-na o- chocza. Kręć się kręć wrze- ciono, przyszła wątła



1. wić. Ta pamię- ta le- piej, czy- ja dłuż- sza nić.
2. „ „ „ „ „ „ „ „
3. nić. Wstydem dziewczę płonie, wstydź się dziewczę, wstydź.



Zygmnut August w Lublinie 1569 r.

Album „Pracy.“

Drukiem „Pracy.„

Gwarantowana liczba stałych abonentów 8250.

Nr. 23. Poznań, Niedziela 4 Czerwca 1899. Rok III.





Precz z kompromisami!

Są ludzie, którym nigdy do głowy nie przyjdzie, jak zbliżone są do siebie już samym dźwiękiem słowa „kompromis“ i „kompromitacya“; dlatego kompromitują się nawołując do kompromisów.

Oto np. sprawa kompromisu politycznego wyborców polskich z Niemcami-katolikami w okręgu tucholsko-człuchowsko-chojnickim!*

Widzieliśmy niedawno w wyborach nadąsaną postawę, jaką przybrali Niemcy-katolicy wobec naszych rodaków, głosując na swego Liebera, aby tylko zadokumentować, że nie chcą głosować na Polaka! Widzimy i dziś ich usiłowania ku wyodrębnieniu się nawet z religijnej wspólności z nami zapomocą tworzenia osobnych związków, towarzystw i t. d., mających na celu wypieranie mowy polskiej z kościołów katolickich, a zastępowanie jej niemiecką. A jednak w czasach, gdy to wszystko się dzieje, gdy nawet u steru stojące ogany niemieckie katolickie przechodzą do szeregów hakatystów, jak to słusznie wykazał niedawno Germanii — Kuryer Poznański; w chwili, gdy frakcya polska nie jest w stanie kilkunastu podpisów zebrać u centrowców pod interpelacyę, mającą na celu ratowanie dzieci polskich przed barbarzyństwem rąk je katujących; gdy coraz bardziej rozchodzą się polityczne drogi Polaków a centrowców czyż nie jest kompromitacyą nawoływanie do kompromisów i to w takich warunkach, jakie widzimy w okręgu tucholsko-człuchowsko-chojnickim? W okręgu tym Polacy mają 201 głosów, Niemcy 244 głosów. Katolicy Niemcy mają coś tylko 40 głosów — i, rzecz zdumiewająca swą naiwnością, oczekują od Polaków, aby swemi 200 głosami dopomogli im przeprowadzić ich kandydata opartego na 40 głosach. A uważają to za rzecz tak prostą, że inaczej być nie może, iż nawet nie raczyli poprosić o to Polaków, a cóż dopiero zniżyć się aż do zaproponowania im jakiejśkolwiek rekompensaty, choćby przynajmniej uwzględnienia życzeń przy wyborze kandydata!

A jednak pomimo to wszystko, byliby może Polacy wysługiwali się nadal centrowcom, gdyby głośny protest kilkunastu prawyborców Polaków nie podał dziś tego w wątpliwość.

Prawyborcy ci oświadczyli publicznie w gazetach, że ze względu na wielką odpowiedzialność, jaka na nich ciąży, gdyby głosować mieli za Niemcem, wprowadzając przez to zamęt w pojęciach prostego ludu, głosować będą tylko na swego, choć Polak nie ma widoków powodzenia.

Echo głośnego uznania wywarł w całym kraju krok tych ludzi, liczących się widocznie z położeniem i trafnie oceniających warunki.

Cała opinia publiczna Prus Zachodnich murem, rzec można, stanęła w obronie tego kroku prawyborców. Zasługującą na wszelkie uznanie zgodnością zapatrywań w tej sprawie odznaczyły się gazety polskie zachodnio-pruskie: Gaz. Gdańska, Grudziądzka i Toruńska. Wszystkie trzy te organy opinii publicznej w Zach. Prusach jednozgodnie pochwalają krok tych prawyborców, którzy oświadczyli publicznie, że na innego posła, jak tylko na Polaka, głosów nie oddadzą.

Ta zgodność zapatrywań, stanowiąca pozatem nader rzadki wypadek w prasie politycznej polskiej

*) Nie zamierzaliśmy pierwotnie zabierać głosu w sprawie tej, bądź co bądź, drażliwej. Ustępując jednak naleganiom licznych czytelników naszych z Zach. Prus, którzy przypisują „Pracy“ znaczny wpływ na dalsze ukształtowanie się sprawy, od obowiązku otwartego wypowiedzenia zdania naszego się nie uchylamy.
Red. „Pracy“.

Prus Zachodnich i dlatego już samego zasługująca na najwyższy poklask i uwagę, jest najlepszym dowodem, że źle obliczyli się z położeniem politycznem i usposobieniem ludu ci wszyscy, co zamiast na swego, doradzali głosowanie na jakiegoś tam hakatystę-katolika.

Ta jednomyślność zapatrywań trzech organów Zachodnich Prus świadczy niemniej, że tylko konieczność, tylko obawa uszczerbku dla sprawy polskiej w razie głosowania na katolika-Niemca mogły skierować ich zdanie przeciw wskazówkom komitetu wyborczego.

Usposobienie ludu polskiego w dzisiajszych czasach nie jest przychylne dla zawierania jakiegobądź przymierza z tymi, od których codziennie obelgi go spotykają. I trudno się temu dziwić, gdyż lud ten, zaczynając przejmować się duchem narodowym, coraz bardziej odczuwa swe nieszczęsne położenie polityczne, uważa więc niemal za odstępstwo od sprawy, gdyby miał choć jednym głosem dopomódz obcemu kandydatowi do zwycięztwa.

Wchodzi tu niemniej w grę kwestya układania się stosunków pomiędzy katolicko-niemieckimi a polskimi wyborcami. Sprawa ta w Zach. Prusach nie przedstawia się o wiele co inaczej niż w Poznańskiem, a dla scharakteryzowania położenia dość wskazać na fakt, który się już tak u nas przyjął, że nikt mu się już nawet nie dziwi — a mianowicie że katolicy-Niemcy uważają pomoc polityczną z naszej strony za rzecz naturalną, gdy zaś chodzi o nas za równie naturalne uważają, że nie chcą o nas nic wiedzieć. Jednem słowem nieszczęsne uwzględnianie wspólności religii i kierowanie się względami dla współwierców tam, gdzie chodzi o naszą skórę, jak nieraz, tak i tu znowu podstawia nam nogę w działaniu na arenie politycznej. Nam się zdaje, żeśmy winni pomoc Niemcom-katolikom dla tego, że są katolicy, jak i my, a tymczasem naprawdę nie mamy żadnego w tem interesu, żadnej nie znajdujemy w tem politycznej rachuby, a nawet wprost znajdujemy straty. Straty mianowicie tego rodzaju: fakt faktem, że stoimy na arenie politycznej sami, zupełnie sami, nie mamy się co oglądać na jakąśkolwiek pomoc, bo nikt nam jej nie udzieli. Wszelkie sojusze polityczne, któreśmy zawierali i przy obecnym stanie zawierać możemy, były korzystne dla drugiej strony, ale nie dla nas. Gdy więc stoimy tak sami, opierając się tylko na własnych siłach, nie ma co wprowadzać w błąd szerokie warstwy społeczne; należy głośno i otwarcie twierdzić, należy im wpajać przekonanie, że my, Polacy, tylko na siebie samych liczyć możemy i na nikogo po za tem. Fakt ten powinien każdemu wyborcy być przedstawiony jasno.

A gdy więc tak z jednej strony nie znajdujemy korzyści w kompromisach z jakiemkolwiek stronnictwem, a z drugiej strony sami za słabi jesteśmy, aby przeprowadzić szczęśliwie na własną rękę jakąkolwiek akcyę parlamentarną, cóż nam tedy pozostaje? Zrzec się musimy nadziei, aby mając swych posłów, jednego mniej lub więcej, tem samem już byt swój polepszyć lub pogorszyć. Lecz powinniśmy zawsze pamiętać, że nie wolno nam na rzecz niczyją zrzekać się tych praw i tych korzyści, jakie dla sprawy polskiej *z wyborów* otrzymać możemy.

Zachęcając do głosowania tylko na swego, twierdząc publicznie wobec wyborców, że tylko na samych siebie liczyć możemy, zrzekając się wszelkich na dalszy dystans obliczonych nieuchwytnych korzyści, wynikających z popierania centrowców, jedną przynajmniej będziemy mieć korzyść: będziemy w ten sposób najskuteczniej szerzyć hasło obrony narodowej pomiędzy ludem — podczas gdy nie postępując tak, żadnych innych korzyści nie mamy, a tę jedną tracimy.

Precz więc z kompromisami! Niechaj za regułę przyjętem będzie hasło: *tylko na swego!* a zbudzi się w naszym ludzie dość ducha, dość siły, dość przywiązania do sprawy ojczystej, aby utrzymać niezachwianie nasz sztandar narodowy!

Kazimierz Radwan.



Wilcy w owczej skórze.

Historyę niemieckiego narodu cechuje jaskrawo bezwzględny egoizm i nieposzanowanie dla praw i własności innych. Gdzie stąpnie noga niemiecka — czego tylko dotknie się ręka niemiecka — to staje się już w mniemaniu Niemców świętą i nietykalną ich własnością. Świetnie zcharakteryzował tę zachłanność narodu niemieckiego nasz Sienkiewicz w Krzyżakach, mianowicie w scenie, gdzie to wysłańcy krzyżaccy po walce Juranda z Bergowem i Majnyczem — przybywają na dwór księcia Janusza — aby żądać satysfakcyi i wynagrodzenia za to — że im się nie powiódł nowy zamach zbrodniczy.... Na podobne objawy bezprzykładnego w dziejach egoizmu patrzymy i dziś codziennie. Jakże często przyznają nam Niemcy wielkie zdolności kulturne, ileż razy chwalą naszą odporność, nasze poświęcenie dla celów narodowych, naszą pracę i ofiarność! A jakąże konkluzyą kończą się te pochwały? — Otóż tą: Polacy to szczep dzielny — więc trzeba go zgnębić i pochłonąć, bo może nam stanąć poprzek w drodze do celów naszych...

Nie dziwimy się, gdy głosy takie odzywają się po stronie protestanckiego liberalnego lub konserwatywnego szowinizmu niemieckiego, bo tam niema czynnika, któryby przeciwdziałał szlachetniejszem tchnieniem tym zakusom egoizmu rasowego. Ale dziwne to sprawia wrażenie, gdy odzywają się także wśród Niemców, wyznających i rzekomo wysoko ceniących wiarę katolicką. Znanym przecież jest wpływ tej wiary prawdziwej na umysły ludzkie. Nauka katolicka *idealizuje* wszystkie narody szczerze jej słuchające — nawet z natury bardzo dzikie i barbarzyńskie. Wszystkie pod jej uszlachetniającym wpływem miękną i nabierają wielkiej wrażliwości dla praw i własności obcej; do tego stopnia, że nieraz poświęcają własne dobro — aby cudzego nie skrzywdzić i nie naruszyć. Przykładów na to nie braknie. Jeden tylko naród mało tym wpływom ulega — a tym narodem jest znów naród niemiecki.... Katolicy niemieccy bronią nas niekiedy pozornie — jako swych współwyznawców — ale tylko wówczas, gdy to i dla ich własnego dobra potrzebne; gdzie atoli wchodzi w rachubę korzyść *niemczyzny* — bez domieszki względów religijnych - - tam kończy się wszelka dla nas życzliwość i Niemiec katolik staje się względem nas tak samo nieubłaganym wrogiem — jak najgorszy bezwyznaniowy szowinista.

Świeżo znów znaleźliśmy dowód na to w szkicu historycznym, a raczej powiastce z podkładką dziejową, jaką zamieściła w dwóch niedzielnych dodatkach, katolicka „Schlesische Volksztg.“, pt.: „Aus alten Tagen.“ Autor jej wybrał sobie za temat jeden z najtragiczniejszych momentów w dziejach szlązkich, gdy to walka narodowościowa wybuchła *wewnątrz* kraju po raz pierwszy z wielką mocą i gdy wciągnęła w wir swój nawet rodzonych braci książęcej rodziny Piastowiczów ślązkich. Henryk I Brodaty —

książę na Wrocławiu i Lignicy ożeniony był z niemiecką księżniczką Jadwigą, córką księcia Meranu — którą później kościół dla jej cnót chrześciańskich między świętych zaliczył. Z małżeństwa tego wyszło kilku synów. Najstarszy Bolesław umarł młodo, drugim z rzędu i wieku był Konrad, trzecim Henryk. Opatrzność dziwnemi nieraz kroczy drogami. Ojciec, Henryk Brodaty, wychowany w Niemczech, czuł się Niemcem i rozpoczął na wielką skalę kolonizacyą niemiecką swego Księztwa, oddając najlepsze ziemie niemieckim rycerzom, niemieckim kolonistom z krzywdą dla tubylców. Młodzi synowie poszli jego śladem i skłaniali się ku niemczyźnie, a w jednym Konradzie odżyła krew polska, krew Krzywoustego. Widząc niedolę polskiego ludu i polskich ziemian, krzywdzonych i deptanych pogardliwie przez cieszących się opieką księcia Niemców, burzył się w duszy i pragnął zmiany nieznośnych wręcz stosunków, pojmując przytem dobrze całą grozę niebezpieczeństwa najazdu niemieckiego. Ojciec z powodu tego stracił do niego miłość i zaufanie, i by usunąć go od władzy, dał mu w lenno Łużyce szlązkie, a stolicę książęcą i całe swe państwo wraz z zwierzchnictwem nad starszym bratem przyznał młodszemu, zniemczałemu Henrykowi. Dało to powód do krwawych walk i rozruchów. Gorący Konrad nie mógł znieść swej i narodu swego krzywdy. Stanął na czele zrozpaczonego ludu i z bronią w ręku najechał zamek brata. Lecz Henrykowi przybyła na pomoc potęga zakutych w pancerze rycerzy niemieckich, którym licho zbrojni i niewprawni Polacy czoła stawić nie zdołali. W walnej bitwie r. 1217 Konrad pobity został na głowę, a uchodząc z pola walki dostał się w zasadzkę i upadając z koniem zabił się na miejscu. Z nim upadły nadzieje ludu polskiego w tej dzielnicy staropolskiej. Niemczyzna wzięła górę nad żywiołem tubylczym i pochłonęła go z czasem zupełnie.

Oto suche fakta historyczne, w których nietrudno chyba rozsądzić, po której stronie było prawo i sprawiedliwość. Jakże inaczej pojmuje i przedstawia tę walkę między braćmi i między narodem broniącym swej ojczyzny, swego mienia, swych skarbów najdroższych, a najezdzcami, którzy mu wszystko wydarli, — autor owej powiastki? Otóż według jego zdania słuszność i sprawiedliwość była po stronie najezdzców. Dla czego? Ot dla tego tylko, że raz stanąwszy nogą na ziemi szlązkiej, już nabrali świętego prawa do tej ziemi. Biedni, nieszczęśliwi tubylcy, to w oczach autora dzicy, sprośni, niegodziwi buntownicy, a książę Konrad, to syn i brat wyrodny, człowiek bez czci i wiary! Kroniki mało nam tylko przekazały szczegółów charakterystycznych o tej postaci, więc autor swobodnie mógł dać folgę swej nienawiści rasowej. Z góry już na samym wstępie fałszuje nawet dzieje, mianując Henryka starszym, a Konrada młodszym synem Brodatego. Potrzebne to było, aby wykazać, że do korony jedynie uprawniony był Henryk, Konrad zaś uzurpatorem. Po tem już się niczem nie krępuje. Nie ma złości, którejby nie przypisał Konradowi, a za największą zbrodnią poczytuje mu to, że śmiał uderzyć batem . . . . niezdarnego pachołka niemieckiego. Jakżeż to charakterystyczne! Wszystko co niemieckie, to u niego wyniosłe, piękne i święte, co polskie zaś to brudne, zdradzieckie, nikczemne. Śmierć Konrada, to kara za to, że śmiał podnieść rękę w obronie polskości.

Krew mimowoli ścina się w żyłach, serce goryczą napływa, gdy się czyta tego rodzaju paszkwil i do tego w gazecie *katolickiej!* Autor nie wahał się nawet świętej postaci Jadwigi wyzyskać na korzyść niemczyzny — nie zdając sobie bynajmniej sprawy z tego, jak bardzo przez to obniża aureolę świętości Patronki Szlązka. Ależ to dla niego, jako dla Niemca, było potrzebnem, a więc jest dobrem i świętem.

Rodzicom polskim radzilibyśmy, aby dali tę powiastkę do przeczytania dorastającym synom. Uprzytomni im ona nieszczęścia, jakie się na plemię nasze przez 9 wieków sypały ze strony niemieckiej i sprawi, że tem bardziej pokochają spotwarzoną tak brutalnie przeszłość swoją. Że przytem powiedzą sobie: Ot wszyscy oni równi – czy bezwyznaniowcy — czy katolicy — to już nie nasza wina.

J. K. Maćkowski.



Dzieje wychodźtwa polskiego.

Napisał dla „Pracy“
Dr. Stanisław Kłobukowski.

III.

Wychodźtwo polskie od 1889 r.

Zjazd Prawników i Ekonomistów we Lwowie. Gorączka brazylijska. Wyprawy Dygasińskiego, ks. Chełmickiego i radzcy Glinki.

Po kilkunastu latach bierności wreszcie sprawa wychodźcza została poruszoną na *Zjeździe Prawników i Ekonomistów we Lwowie 1889* r. skutkiem referatu Stan. Kłobukowskiego „Roczna emigracya polska“. W referacie podniesioną została sprawa ludnościowa wogóle, której wychodźcza jest tylko wynikiem. Zjazd nie zgodził się na wszystkie wnioski referenta. Tenże bowiem żądał wybrania komisyi nietylko, aby zbadać istniejący stan wychodźtwa, lecz aby ująć prąd emigracyjny w pewne karby organizacyjne... celem jak najlepszego pokierowania jego dla sprawy narodowej, nawiązania stosunków między wychodźtwem a krajem ojczystym, skupiania wychodźców w zarodki nowopolskich społeczeństw po krajach najodpowiedniejszych, a mianowicie południowo-amerykańskich.

Wybrano komisyę z 5-ciu, do której weszli: wnioskodawca dr. Stanisław Kłobukowski, prof. uniwersytetu jagiellońskiego dr. Józef Kleczyński, Józef Maczewski, mecenas Alfons Parczewski i Stanisław Szczepanowski. Zjazd polecił komisji zbadać stan polskiej emigracyi i postanowił nie krępować jej żadną instrukcją, wbrew wnioskodawcy, który chciał, żeby oprócz badania, uczyniła ona przedwstępne kroki do zorganizowania prądu wychodźczego. Ponieważ w łonie komisji znajdował się prof. Kleczyński, przeciwnik innego działania niż badanie, przeto ograniczono się tylko do rozsyłania kilkunastu tysięcy kwestyonaryuszy w języku polskim i rusińskim tak pomiędzy ludnością krajową, jak wychodźcami. — Duchowieństwo w osobach książąt kościoła obydwóch obrządków bardzo przyczyniło się do rozszerzenia tych odezw. Odpowiedzi przybyły w dość znacznej ilości. Niektóre były istnemi dziełami, jak n. p. odpowiedź z Chicago, zawierająca 60 stronnic bardzo wielkiego formatu, maczkiem zapisanych. Całość stanowi materyał obszerny i poważny, teraz już może trochę przestarzały.

Życie nie czekało na sprawozdanie komisyi Zjazdu lwowskiego, 1889 r. do przyszłego w Poznaniu w 1893 r. Ruszyła się emigracya z Kongresówki do Brazylii. Nastała tak zwana *emigracyjna gorączka brazylijska.* Kilkadziesiąt tysięcy ludu polskiego poszło ginąć i rozlewać się po Brazylii. Najwięcej ludzi naszych napłynęło do jej południa tj. do stanów St. Paulo, Parana, Santa Catharina i Rio Grande do Sul, a niemniej do Uruguayu i Argentyny.

Wkroczono tedy głębiej w dziedzinę czynu. Przyszła do skutku wyprawa p. *Dygasińskiego.*

Wysłannik „Kuryera Warszawskiego“ zwiedził kraje brazylijskie, pochłaniające wychodźców naszych t. j. stany Rio Janeiro, St. Paulo, i Santa Catharina. Opisał barwnie

po pismach nędzę straszną ludu naszego na tułaczce. Opis ten jest jednostronny przez to, że przedewszystkiem tę nędzę wykazuje, z zamiarem odstraszenia od opuszczenia kraju i bez porównywania tej biedy z nędzą rodzimą, którą wychodźcy opuszczali. Z tej całej trzymiesięcznej podróży swej wyciągnął wnioski tylko odstraszające a bynajmniej nie te, które jedynie mogłyby zmniejszyć nieszczęścia t. j. dotyczące uregulowania wychodźtwa.

W pokrewnym duchu zrobiony został krok dalszy. Wyprawa księdza *Chełmickiego* i p. *Glinki* miała na celu nietylko zbadać stan emigrantów w Brazylii, lecz też i działać, a mianowicie sprowadzić część wychodźców brazylijskich do kraju, aby odstraszyć mieszkańców Królestwa od Brazylii. W tym celu posłużył fundusz 17,000 rubli, zebrany w Warszawie za pozwoleniem jenerał-gubernatora Hurki. Głównym ofiarodawcą był hr. Ludwik Krasiński. Myśl ta okazała się zupełnie błędną. Przybyli z powrotem do ojczyzny wychodźcy po pół roku stali się największymi agitatorami brazylijskimi... jak to wykazuje prof. dr. Siemiradzki.

Nie obliczono się z nędzą w kraju i z fantazyą ludzką. Masy szukały tego, czego nie miały w domu: dobrobytu i swobody narodowej i religijnej. Pożądania te były stawiane bardzo wyraźnie obok równie wyraźnego życzenia posiadania ziemi.

IV.

Wychodźtwo polskie.

Wyprawa Siemiradzkiego i Hempla. Przegląd Emigracyjny. Wyprawa Dunikowskiego. Towarzystwo Handlowo-Geograficzne. Pawilon amerykański na wystawie lwowskiej 1894 r.

Ważniejszą była wyprawa w r. 1891 *dr. Siemiradzkiego, Antoniego Hempla* i *Łaźniewskiego*, także do południowej Ameryki. Powróciła ona w 1892 r. z obfitym łupem. Obszerne sprawozdania z niej pojawiły się w „Gazecie Lwowskiej“, „Czasie“, „Przewodniku Naukowo-Literackim“ i „Bibliotece Warszawskiej“, pióra dr. Siemiradzkiego oraz w „Kuryerze Lwowskim“, „Polacy w Brazylii“ pióra Antoniego Hempla. Były to opisy podróży po południowej Brazylii, Argentynie i Chili. Wyprawa przedsięwziętą została już w zupełnie racyonalnej myśli zbadania faktycznego stanu wychodźtwa w Brazylii i warunków osiedleńczych tamże i w Patagonii (nad jeziorem Nahuel Huapi, gdzie zdawała się istnieć możność założenia niezależnej kolonii polskiej... Jestto miejsce upatrzone kiedyś przez OO. Jezuitów na osady i państwa). Uczestnicy tej wyprawy bynajmniej nie okazali zacofanej chęci odstraszania od południowej Ameryki.

Następnie założony został we Lwowie dwutygodnik *„Przegląd Emigracyjny“* w lipcu 1892 r. Nie ziściły się przepowiednie, że wkrótce nie będzie o czem pisać. Materyału do obrobienia i wyzyskania było ponad możność redakcyi.., prowadzonej z początku przez dr. Kłobukowskiego a następnie oprócz niego przez dr. Wiktora Ungara, dr. Aleksandra Lisiewicza i dr. Józefa Siemiradzkiego. Sprawa weszła na ścieżki racyonalne i systematyczne.

W początkach istnienia tego czasopisma odbyła się też wyprawa prof. *Dunikowskiego* do północnej Ameryki. Był on wysłannikiem poważnej grupy ludzi z najwyższych sfer galicyjskich. Serdecznie i uroczyście przyjęty przez rodaków północno-amerykańskich zelektryzował ich swą świetną wymową. Trzymiesięczny jego objazd podobny był do przejazdu jakiego monarchy lub bohatera zwycięskiego. Wynik tej podróży był jednak więcej ideowy niż realny, więcej siewem na przyszłość, niż organizacyjną działalnością.

W 1893 r. *w Poznaniu odbył się Zjazd Prawników i Ekonomistów* polskich. Na nim utworzona została osobna sekcya emigracyjna pod przewodem mecenasa Alfonsa Parczewskiego. Zdano sprawę nie jedynie tylko z działalności badawczej komisyi, lecz i z innych czynników, objaśniających sprawę wychodźczą n. p. z odbytych podróży. Najważniejszą uchwałą 3. Zjazdu Prawników i Ekonomistów polskich było przyjęcie wniosku dr. W. Ungara założenia *Polskiego Towarzystwa Handlowo-Geograficznego.*

Cel tegoż zakreślony został jako doradczy, nie zarobkowy i do przeprowadzenia przez wszelkie możliwe czynniki w narodzie. Jestto łączność ekonomiczna polska i wyzyskanie faktu wychodźtwa tak dla nawiązania stosunków handlowych światowych, jak dla sprawy narodowej polskiej wogóle.

Towarzystwa takie istnieją na zachodzie Europy i wyświadczają swym narodom i rządom niespożyte usługi. Stały się one istnym kawałkiem rządów swych narodowych. Nasze stosunki o tyle już są posunięte, że i u nas takie towarzystwa są niezbędne. Konieczność ich założenia uznał Zjazd Poznański.

Towarzystwo Handlowo-Geograficzne założono istotnie we Lwowie w maju 1894 r. tuż przed otwarciem Powszechnej Wystawy Krajowej. Na niej ujrzano *pawilon polski północno-amerykański* i wysłannika z za morza, p. Adama Szwajkarta. Pawilon parański nie przyszedł do skutku. Wojna domowa brazylijska przeszkodziła temu, choć wszystko było przygotowane do obesłania wystawy lwowskiej, tak ze strony wybitniejszych obywateli polskich tamtejszych, jak ze strony samego rządu parańskiego, który tę sprawę dość wziął do serca. Małą ilość okazów dotyczących wychodźtwa południowo-amerykańskiego umieszczono w pawilonie północno-amerykańskim, na którym powiewały chorągiew z orłem polskim i sztandar gwiaździsty.

Podczas wystawy i niezależnie od niej zadzierżgnięto bliższe węzły z rodakami zamorskimi. Pan Bayle z Warszawy otworzył w Nowym Yorku, Chicago i San Francisko domy komisowe polskie w celu wywozu towarów polskich do północnej Ameryki. Wzmogła się przesyłka książek polskich za morze. Niektóre wydawnictwa polskie porobiły nawet świetne interesa na wywozie za morze, n. p. wydawnictwo albumów wojsk polskich Żychlińskiego. Wiele wydawnictw powędrowało czy to zakupionych czy przesłanych darmo dla towarzystw polskich głównie za staraniem Towarzystwa Handlowo-Geograficznego i Przeglądu Emigracyjnego, który stał się organem tegoż.

Z upoważnieniem i papierami Dyrekcyi Wystawy oraz z poleceniami redakcyi powyższego pisma pojechał był do Parany p. Jan Koźmiński, jako nauczyciel, jeszcze roku poprzedniego. Przenikał go duch prawdziwie apostolski niesienia oświaty ludowi swemu i zorganizowania go w siłę, zdolną utworzyć z niego zarodek nowopolskiego społeczeństwa. Niestety posłannictwo jego spełzło na niczem. Stanął w obronie kolonistów pol-

skich, krzywdzonych przez wojaków brazylijskich, zaplątał się w sprawy powstańcze tamtejsze i zginął na polu chwały w gronie ochotników polskich pod Cruz Alta w brazylijskim stanie Rio Grande de Sul. Przynajmniej imię polskie zasłynęło jako narodu walecznego.

Dr. Stanisław Kłobukowski.



Z TYGODNIA.

Jak się zdaje, w Chinach wielkie obecnie panuje zamięszanie. Mówią i piszą o oficyalnem zdetronizowaniu cesarza Kuang-ssi, podczas kiedy on rzeczywiście od kilku miesięcy zupełnie już został usuniętym od rządów.

Ogłoszenia cesarzem Kuang-ssi, który wcale nie miał prawa do korony, dokonała w lutym r. 1876 matka cesarzowa; cały naród chiński wiedział, że to jedynie jej dzieło, bądź co bądź jednak zachowano wszelkie formy zewnętrzne tem, że młody monarcha został adoptowanym jej synem na mocy znalezionego ostatniego rozporządzenia jego poprzednika. „Każdy cesarz chiński — tak brzmiało owe rozporządzenie — wybiera sam swego następcę.“ I to zupełnie wystarczało, aby pozory uratować.



Cesarzowa chińska,
matka obecnie zdetronizowanego cesarza Chin.

Ale jeżeli istotnie ma teraz być nowy cesarz, to cesarzowa matka stałaby się winną o wiele ważniejszego zamachu, niż wówczas, a nowy panujący miałby jeszcze o wiele mniej prawa do tronu, niż Kuang-ssi. Od niepamiętnych czasów był każdy cesarz chiński rzeczywiście wybieranym przez swego poprzednika, a jeżeli było inaczej, to przywłaszczano sobie tron gwałtem i usuwano równocześnie całą dynastyę, do której wypędzony cesarz należał.

Dynastya, do której należy Kuang-ssi, nie jest rdzennie chińską, tylko mandżurską.

Mieszkańcy Mandżuryi, nie należącej w r. 1600 jeszcze do Chin, trudnili się głównie myśliwstwem i wiedli w południowych mianowicie okolicach kraju, ożywiony handel futrami i końmi, pod dozorem chińskich urzędników cła, którzy jednak z biegiem czasu dopuszczali się rozmaitych nadużyć i wyzyskiwali niedoświadczonych Mandżurów. Niezadowolenie uciśnionych wzrastało z każdą chwilą, korzystał więc z tego pewien książę mandżurski, nazwiskiem Abkaifuhinga i zebrawszy kilka przyjaznych sobie szczepów, napadł urzędników chińskich i wypędził ich. Działo się to w r. 1618. Uniesiony zwycięztwem posunął się dalej, najechał jedno z miasteczek, leżących blizko granicy, zrabował je, wyciął w pień załogę, i dzięki niedoświadczeniu dowódzcy wojska chińskiego, który podzielił swoje hufce na cztery mniejsze oddziały, zwyciężył jeden oddział po drugim i zmusił dowódzcę z garstką pozostałych żołnierzy do ucieczki.

W następnych latach zdobył Abkaifulinga półwyspę Liaotung, i rabując i mordując, rozszerzył swoje panowanie coraz więcej na południe. Ale krótko przed śmiercią dopiero powziął plan zdobycia większej części Chin, i byłoby mu się to udało, gdyż wojsko chińskie już od r. 1622 wyłącznie było zajęte przytłumieniem rewolucyi na zachodzie, gdyby nagle nie był umarł.

W tym czasie powstały też zaburzenia w Shantung, gdzie od dawna istniejące tajne stowarzyszenie „białej wodnej lilii“ na nowo rozpoczęło swe szatańskie dzieło. Towarzystwo to sprawi zapewne i Niemcom w Kiauczau niejednę jeszcze nieprzyjemność.

W r. 1627 wstąpił na tron chiński ostatni panujący z domu Ming.

Wszyscy panujący z tego domu odznaczali się wielkiemi zdolnościami i naród wielkie w nich pokładał nadzieje, ale zepsuci gospodarstwem eunnuchów i haremu, nie mogli się zajmować rządami kraju i tracili siły na hulanki i rozpustę. Ostatni cesarz Ming, mający doskonałego doradzcę w sławnym Jezuicie, Ojcu Schall, mógł był podźwignąć kraj z upadku, przepędziwszy jednak młodość w gnuśności i złych obyczajach, nie miał już żadnej energii i nie chciał się niczem zajmować. — I tak przeciągały wojska powstańców nieraz w ilości 100 tysięcy ludzi całe prowincye państwa, zamieniając wszystko w prawdziwą pustynię. Najpotężniejszym dowódzcą takich hord łupiezkich był Li-tse-tshung, który spustoszył najpierw prowincyę Shensi na północy-zachodzie, a potem paląc i mordując, szedł dalej i osiadł nad Yangtsekiang'iem.

Na domiar złego wpadł teraz do Chin syn i następca Abkaifulinga (w roku 1629) z wojskiem stutysięcznem, w którem znajdowały się też całe oddziały Mongołów, zabrał wszystkie prawie fortece na północy i stanął wkrótce blizko Pekingu.

Ale i tym razem nie chciał zaślepiony cesarz chiński przyjąć warunków pokoju mężnego zdobywcy, który obładowany zdobyczą i łupem, wrócił do Mandżuryi i zagarnął część Mongolii pod swoje panowanie. W r. 1636 posiadał obecnie ów bardzo już potężny książę mandżurski dla swej dynastyi oficyalny chiński tytuł Ta-ching (wielki i czysty). Jest to dzisiejsza nazwa obecnego domu cesarskiego.

Przywódzca zbuntowanych dotarł tymczasem aż do Hoangho i zdobywał tam jedno miasto po drugiem, a podczas powodzi padło ofiarą w jednej tylko stolicy prowincyonalnej K'ái-fong-fu, przeszło milion ludzi. Zwycięzki buntownik przybrał w r. 1644 tytuł cesarza, zdobywszy rzeczywiście całe północno - wschodnie Chiny i część środkowych — teraz wybrał się w drogę do Pekingu i pobił od razu resztki wysłanego przeciw niemu wojska.

W ciężko zagrożonej stolicy żył tymczasem właściwy cesarz, sam i opuszczony. Gdy za pomocą zdrady wpadli łupiezcy do miasta, pastwiąc się w najokropniejszy sposób nad bezbronnymi mieszkańcami, wyszedł cesarz w towarzystwie jedynego wiernego eunnucha z pałacu, spojrzał raz jeszcze na palące się domy, i powiesił się na własnym pasie.

Teraz nadeszła stosowna pora działania dla księcia, czyli cesarza mandżurskiego, którym od r. 1643 był pięcioletni książę, późniejszy pierwszy panujący z obecnej dynastyi, Shun-tschou, a za którego wuj sprawował rządy.

Nad zatoką Petschili, tam gdzie dziś wiedzie wzdłuż wybrzeża rosyjska kolej żelazna, trzymał się jeszcze w jednej twierdzy niezależny od powstańców komendant, nie wiedząc, co mu wypada uczynić po śmierci prawowitego cesarza. W końcu wezwał pomocy mandżurskiej.

Mandżurowie nie dali się też długo prosić i pospieszyli na wezwanie. Powstańcy wyruszyli naprzeciw tego ostatniego, jak sądzili, wroga, w 20,000 konnych i 20,000 pieszych żołnierzy. W drugim dniu bitwy rzucili się mężni Mandżurowie na przeważne siły nieprzyjacielskie, wiedząc, że lada chwilę znaczne nadciągną posiłki. I gdy nadeszła kon-

nica cesarska, wtedy buntownicy stracili odwagę i ratowali się ucieczką, a pierwszym, który dał hasło do hańbiącej ucieczki, był okrutny Li-tse-tschung. Przybywszy do Pekingu, zabrał łupy, które poprzednio już zebrał, kazał ściąć jeszcze kilkuset ludzi i uciekł dalej na wschód. — Ścigany od miasta do miasta, postanowił połączyć się z okrutniejszym jeszcze, dawniejszym swoim wrogiem Tschang-hsien-tschong i uderzyć wspólnie na Mandżurów, ale prośby jego były daremne. Li-tse-tschung pobity zupełnie, zebrał ostatnią garść żołnierzy, ukrywał się z nimi przez pewien czas po lasach, żyjąc z kradzieży i rabowania małych wsi, i został wkrótce, podczas jednej takiej wyprawy zabitym. — Już w r. 1614 przełożono rezydencyą sześcioletniego cesarza Shuntschou do Pekingu i odtąd rozpoczyna się panowanie teraźniejszej dynastyi.

W południowych Chinach ogłaszano jeszcze cesarzami rozmaitych książąt z domu Ming, ale Mandżurowie wypędzali ich i zabijali, i tak uskromniono się bardzo prędko z starą dynastyą.

Najgroźniejszym przeciwnikiem nowego domu panującego był osławiony Tschang-hsien-Tschong, którego ostatecznie pokonano dopiero w roku 1646. Okrutny ten tyran, który w prowincyi Szetschuang jednego dnia kazał ściąć 30,000 kapłanów, uwolnił wojsko od niepotrzebnego ciężaru, gdy Mandżurowie się zbliżali, w ten sposób, że kazał znajdujące się przy wojsku kobiety i dzieci wyrżnąć. Było ich 60,000. Miał przytem wielkie jeszcze szczęście, że poniósł śmierć na polu bitwy, ugodzony w serce strzałą nieprzyjacielską, gdyby go bowiem Mandżurowie byli pojmali żywego, byłby musiał znosić najokropniejsze tortury. Cały naród drżący na wspomnienie tego okrutnika, witał z radością Mandżurów, do których przyłączały się teraz całe oddziały buntowników. Ale spokój i porządek zostały przywrócone dopiero w r. 1648, w którym to roku, jak wiadomo, została też ukończoną wojna trzydziestoletnia.

Zwycięzcy Chin przyswoili sobie bardzo prędko mowę, zwyczaje i obyczaje zwyciężonych, z którymi, tak jak i wszyscy inni późniejsi najeźdzcy, zupełnie się złączyli. W północnych Chinach żadnej już teraz nie ma różnicy pomiędzy obydwoma narodami, jedynie na południu, koło Yangt-se-kiang uważają Mandżurów zawsze jeszcze za cudzoziemców i mniej mają do nich sympatyi.

Jeżeli zatem postępowanie Rosyan zachwieje na północy jeszcze więcej i tak już niezbyt pewne stanowisko panującej dynastyi, wtedy dążności antidynastyczne południa przeważą i w Chinach nowi wystąpią pretendenci do tronu. Znaczy to tyle, że przez długie lata trwać będą krwawe rewolucye, które pochłoną krocie ofiar.

O. K.



PRZEGLĄD PRASY.

Gazeta niemiecka **„Tägliche Rundschau“** podaje wiadomość o działaniu protestanckiej misyi bazylijskiej w Kamerunie. Jak tam w szkołach kameruńskich uczą misyonarze, dobrze się dowiedzieć, bo z tego wynika, że w Kamerunie dzieci lepiej w szkole mają, niż w naszych szkołach dzieci polskie. Uczą się tam bowiem najprzód swojego języka ojczystego, aby dopiero na tych zasadach uczyć się zrozumieć język niemiecki. Czytamy o tej nauce jak następuje:

„Językiem wykładowym w tych (kameruńskich) szkołach ludowych jest język krajowców, Dualla. Bazylejskie towarzystwo misyjne trzyma się słusznej zasady pedagogicznej, że krajowiec (Słuchajcie! Słuchajcie!) zanim się nauczy po niemiecku, musi naprzód umieć czytać i pisać w swoim własnym języku.“ Tak pisze „Tägliche Rundschau“ w dodatku do nr. 116 na dzień 19 maja 1899 r. Dalej przytacza toż pismo bez żadnej uwagi i krytyki z swej strony z referatu misyonarza Schulera niektóre ustępy dosłownie. Tenże pan Schuler pisze: „Tylko nierozum może stawiać takie żądanie, jak to, że niemczyzna ma zastąpić lub wyrugować język krajowy. Czem byłby lud, któryby utracił język ojczysty? W swym języku ojczystym człowiek myśli, on jest zwierciadłem ducha, który go ożywia. Byłoby to niczem nieusprawiedliwioną grabieżą, jakiej dopuściłaby się misya na ludzie, gdyby mu odbierała język ojczysty. Dla tego nietykalną zasadą misyi ewangelickiej musi pozostać to, aby każdemu narodowi głosić Boże prawdy zbawienia w jego ojczystym języku i aby każdy chrześcianin o ile możności nauczył się czytać i pisać w języku swoim ojczystym.“

To wszystko drukuje „Tägliche Rundschau“ bez uwagi, widocznie więc godzi się na te zdania dla.... Kamerunu, inaczej nie zachwalałaby tego, jak to czyni towarzystwo, które wyraża takie zapatrywania. Dobrze byłoby, aby przed pisaniem uwag o nauce języka polskiego u nas „Tägliche Rundschau“ odczytała sobie zawsze własny swój artykuł, z którego podaliśmy powyższe wyjątki.

Z okazyi stuletniego jubileuszu poety rosyjskiego Aleksandra Puszkina cały urzędowy świat rosyjski sposobi się do odświętnych obchodów na cześć poety. Do współudziału w obchodach tych zgłosił się i **„Dziennik Poznański“** w artykule następującym:

„Wobec stuletniego jubileuszu rosyjskiego poety, obchodzonego w całym nieledwie świecie słowiańskim, i nam wypada zwrócić uwagę na pamięć jednej z ozdób słowiańskiego świata.

„Niestety skutkiem alfabetu rosyjskiego, którym się drukują wszelkie dzieła rosyjskie, są u nas arcydzieła rosyjskiej literatury mało znane. Inaczejby było, gdyby rosyjscy wydawcy mogli i chcieli drukować swoje wydania także łacińskim alfabetem. W takim razie znalazłaby literatura rosyjska u nas wielu czytelników i pokazałoby się, że moglibyśmy się z nią zapoznać daleko łatwiej, jak przy dzisiejszym stanie rzeczy, kiedy każdego Słowianina zachodu odstrasza dość trudne przyswajanie sobie charakterów pisma rosyjskiego.

Myśl tę kilkakrotnie już w piśmie naszem poruszoną, odnawiamy dziś na uroczystość Puszkinowską“.

Nie wątpimy że propozycya uczyniona Rosyi przez „Dziennik Poznański“, aby Rosya wyrzekła się swego alfabetu a przyjęła alfabet łaciński, będzie poddana w miarodajnych sferach w Petersburgu gruntownemu zbadaniu i rozpatrzeniu. Prawdopodobnem jest jednakże, że na razie Rosya pozostanie przy swoim alfabecie, który stanowi cząstkę jej odrębności od Europy, tak samo jak i wyznanie odrębne od rzymsko-katolickiego.

Znany publicysta warszawski p. B. Lutomski ogłasza w **„Gazecie Polskiej“** interesujący artykuł o karciarstwie. Artykuł ten warto tu przytoczyć i polecić bacznej uwadze tych wszystkich, którzy chcąc podjąć walkę z hydrą karciarstwa muszą mieć zawsze na pamięci związek, jaki łączy karciarstwo ze wszystkiemi innemi objawami społecznemi tak, że jest ono niejako tylko wynikiem ustroju społecznego i tylko u samych podstaw zwalczanem być może.

„Minął wiek, stoimy na granicy nowego stulecia i dalej gramy. *Tłómaczenie pijakowi, ażeby przestać pić, lichwiarzowi, ażeby nie obdzierał ofiar i graczowi, ażeby nie hazardował, jest zawsze lub prawie zawsze rzucaniem grochu na ścianę.* Oni i pić, i obdzierać, i grać będą dopóty, dopóki tylko będą mieli sposobność.

Interesująca jest jeszcze inna strona tej kwestyi. W XVIII wieku, kiedy śp. książę biskup Warmiński gromił w swoich satyrach zapalonych graczów, kto przeważnie grał? szlachta, panowie, senatorowie i inni przedstawiciele „dobrze urodzonych“ stanów. Naturalnie, że lokaje i kamerdynerzy grywali po kątach i przedpokojach, ale to się nie liczyło. Dzisiaj, oprócz potomków zapisanych w kronikach „zasłużonych“ mężów, grają kupcy, urzędnicy, prawnicy, architekci, kantorzyści itd. — słowem ludzie tych zawodów, których tak długo nazywano „pracującą“ demokracyą, dzielnem i postępowem mieszczaństwem. Pesymista, przy rozważaniu powyższych objawów pomyślałby niewątpliwie, że zaledwie jakiś stan spoleczny dosięgnie swego zenitu, już go się ima płochość, lekkomyślność. *Patrząc na tę sprawę, jako na jedno z ogniw w całym splocie stosunków, jako na fakt posiadający swoje przyczyny w obyczajach i temperamencie środowiska społecznego, zauważyć wypadnie, że jest on, niestety, naturalnym i przewidzianym.*

„Hazard wisi w powietrzu, w tej „newrozie pieniężnej,“ o której pisał bardzo trafnie Płoszowski Sienkiewicza w swoim pamiętniku w ogólnej skłonności do spekulacyi i łatwej zdobyczy. *Wszyscy rozprawiają o dobroczynnem i wielkiem znaczeniu pracy; nauczają tego z katedry,*

z dziennika, cała obłuda konwencyonalna nawołuje do pracy i skromności, gdy tymczasem sama prowadzi żywot pasożytniczy, wypełniony apatycznem ospalstwem lub bezmyślną rozpustą. Ci, co się pochylili i zgięli nad pracą, mają zaledwie kawałek suchego chleba; ci, co za pomocą oszustwa, pochlebstwa i hazardu robili sobie losy i karyery, opływają często w rozkosze.

„Obyczajów społecznych nie naprawia się jedną nauką moralną, ani biadaniem, ani złorzeczeniem. Na to trzeba usilnych starań w wychowaniu, w systemie pracy społecznej, w atmosferze towarzyskiej.“

Zwracamy uwagę Czytelników naszych na to, jak dalece myśli wyrażone w powyższym artykule zgodne są z tem, cośmy napisali swego czasu na temat zwalczania karciarstwa i co dziś powtarzamy: że walka z hazardem w szczególności a z karciarstwem wogóle, jeśli ma wydać pomyślne wyniki, nie może ograniczać się na systematycznem „perorowaniu“ przeciw karciarzom i wyklinaniu ich w artykułach dziennikarskich, lecz opierać się musi na dążeniu do usunięcia *przyczyn* karciarstwa, któremi są: brak oświaty i wykształcenia, próżniactwo wynikające z braku zatrudnienia i zastój życia towarzyskiego, które nie dostarcza innych, godziwych rozrywek.

O wpływach niemieckich w Kongresówce, gdzie, jak się zdaje, także hakatyści chcą rej wodzić, pisze **„Niwa Polska“** co następuje:

„Żydziak jaki, nieznający, prócz żargonu żadnego niemal języka, dorabia się tak na handlu, że wchodzi w szersze stosunki, wymagające korespondencyi listownej. Można być pewnym, że papier listowy i koperty takiego kupca będą nosiły napisy w języku niemieckim. Gdy list taki wpadnie w ręce jakiego reportera, nie minie żydziaka ostra reprymenda za czyn nieobywatelski, choć Bogiem a prawdą chałaciarz ten tyle właśnie ma pojęcia o tej cnocie, co reporter o Misznie i Torze. Lecz co tu mówić o żydku, dla którego język niemiecki jest szczytem swego rodzaju elegancyi kupieckiej, kiedy leży przed nami koperta z nagłówkiem: *Markgräflich Wielopolski — Dampfsäge Verwaltung, Krzelów, Station Sędziszów Iwangroder Eisenbahn.* I w takich kopertach rozsyła Zarząd tartaku Krzelowskiego, margrabiego Wielopolskiego, swym klijentom listy! Naturalnie margrabia może odpowiedzieć, że się tartakiem nie zajmuje, jeżeli więc kto tu winien, to zarząd tartaku. W tem właśnie jednak rzecz, że zarządza tartakiem, nadleśny Wendt, czystej krwi Prusak, i on to jest tak zaciętym hakatystą germanizatorem.

Ejże panowie rzecz to zgoła brzydka
Nieróżnić się w pojęciach od ciemnego żydka!“

Nie ma co mówić — i tu i tam jesteśmy niepoprawni w lekceważeniu naszego języka, którym „nasi najserdeczniejsi“ nawet w prywatnych stosunkach posługują się gorzej jak „kopciuszkiem“.

M. B.

NA DOBIE.

Poznań, 29 maja.

Szanowna Redakcyo!

Autor *„Listu ze wsi“* (nr. 22 „Pracy“) nieco jednostronnie może przedstawił sprawę porządku na zagrodzie włościańskiej — i to ze strony ujemnej.

Muszę też dla ścisłości i drugą stronę medalu przedstawić. Autor tamtego listu widocznie miał przed oczyma tylko najbiedniejsze okolice. Natomiast niechby przeszedł się po wsiach i wioskach naszych koło Poznania, Kościana, Śremu, Kórnika, Środy i t. d. a zapewne innego nabędzie p. autor przekonania. Małe, niskie domeczki istnieją wprawdzie, ale wtedy tylko, jeśli biedak sam sobie gniazdko ulepił, choć nie zawodowiec. Milej to w takiem jaskółczem gnieździe, które zawdzięcza się pracy własnej, jak być u kukułki, która szumna wprawdzie, ale nie stara się o przyszłość swych małych. W domach włościańskich wszędzie są okna do otwierania podatne, chyba brak ich po mieszkaniach dominialnych, ale o tych nie mówimy i nie jest to winą biednych ludzi. Latem nie wentyluje się może dla tego należycie okien, że całe gromady much i owadów z podwórza i stajni do izb się zbiegają. Ptactwo domowe napotka się jedynie w kuchni, tuż przy wyjściu na podwórze, a i to tylko podczas lęgu. Gnojownia jest przecież dla dobrego gospodarza najważniejszym czynnikiem, amoniaki nawet są rzeczą zdrowotną, więc nie tylko polski włościanin, ale i wzorowy Szwajcar i Belgijczyk tuż pod okiem ma je, a nikt zarzutu mu nie robi z tego. Znamy zresztą z doświadczenia i danych statystycznych, że zmysł porządku i ładu idzie w parze z dobrobytem; gospodarze nasi są dość mienni, mają więc porządek. Przeciwnie proszę odwiedzić nędznych ludzi na tylnem Chwaliszewie w Poznaniu, a zobaczymy, że tylko nędza, ale i na pewno ona prowadzi do stósunków wręcz niemożliwych.

X. N.

* * *

Z prowincyi, 30 maja.

Szanowna Redakcyo!

Odzywam się do pp. urzędników gospodarczych, gorzelników, leśników, i oficyalistów itd. w myśl artykułu umieszczonego w nr. 20 „Pracy“ r. b. pod nagłówkiem: „W jaki sposób na polu przemysłu przysporzyć możemy majątkowi narodowemu to, co mu ubywa z ziemi ojczystej?“

Myśl zawartą w powyżej naznaczonym artykule uznałem za dobrą i ważną, niemniej polecenia godną wszystkim gałęziom przemysłu na polu ekonomicznem. Artykuł „Pracy“ daje też bodźca do wystąpienia publicznego, zbudzając zarazem myśl, czybyśmy i my nie mogli częściowo zaradzić kurczeniu się ziemi naszej, a przytem i upadkowi stanu naszego?

Artykuł „Pracy nawołuje kupców i przemysłowców do zespolenia kapitałów w celu zakładania większych przedsiębiorstw i fabryk.

Mojem zdaniem, z takiego zespolenia kapitałów mogą się tylko potworzyć instytucye, z których mogą najwięcej korzystać kapitaliści i część rzemieślników i przemysłowców, gdy innym jeszcze większy może grozić upadek, lecz ubytkowi ziemi ojczystej a przytem i upadkowi nie tylko stanu naszego, ale całego społeczeństwa rolniczego się nie zaradzi.

Widzimy i słyszymy prawie codziennie o rozrywaniu sprzedaży i upadku naszych większych i mniejszych majątków, już to przez dobrowolne sprzedaże w obce ręce, już to przez parcelacye instytucyi parcelacyjnych i rozmaitych przedsiębiorców i spekulantów w krajanie w szmaty i dalsze handlowanie ziemią.

I cóż my na to? Widzimy coraz ciemniejszą przyszłość i mówimy co będzie z nami i z naszym ludkiem za lat dziesięć! za lat pięćdziesiąt! ale radzić i temu zapobiedz nie możemy.

We wszystkich innych zawodach, czy to krawcy, szewcy, stolarze, organiści, nauczyciele i t. d. radzą sami, radzą i pomagają im inni do polepszenia ich bytu; lecz nad położeniem urzędników gospodarczych i innych oficyalistów kto radzi? nikt! A jednak to nie łatwy kawałek chleba; a przy całej wielkiej odpowiedzialności mozolnej i uczciwej pracy starczy zaledwie na wyżywienie siebie, familii i opędzenie potrzeb obecnych, lecz nie starczy na to, aby sobie zabezpieczyć przyszłość i starość. Mówię starość, lecz trzeba jeszcze wziąść na uwagę, że mało jest takich szczęśliwców, którzy do starości mogą się cieszyć swoją pracą i tak smutnym kawałkiem chleba, bo ze sprzedażą majątku rozpoczyna się najpierw od wydalenia urzędnika, gdzie mu z wielkim trudem i kosztem przyjdzie znaleźć inne miejsce.

Komu więc najwięcej potrzeba opieki? Kto najbardziej uczuwa handel, szacherkę, sprzedaż ziemi i jej upadek? nie kto inny jak urzędnicy.

Myślę właśnie nad tem i podaję pod rozwagę nietylko wszystkich urzędników i oficyalistów, lecz wogóle wszystkich szanownych czytelników, ziomków, czybyśmy i my naszemi zespolonemi siłami upadkowi ziemi ojczystej i upadkowi stanu naszego, i tracenia sił narodowych zaradzić nie mogli? My wiemy z jakiemi trudnościami ma do walczenia rolnictwo, ale wiemy też, jakie rolnictwo przy mądrem gospodarowaniu o ścisłym i oszczędnym obrachunku przynosi zyski. Nie wszyscy też właściciele sprzedają swoje majątki dla tego, że im ziemia nie donosi, lecz mają oni do tego wiele innych powodów.

Jak przemysłowcy, kapitaliści i spółki zarabiają wysokie zyski i dywidendy łącznemi siłami w zakładach i fabrykach tak i my byśmy mogli zarabiać wspólnemi siłami w naszych fabrykach natury. Wytknięty cel — uczciwa, cicha i skromna praca naszemu społeczeństwu najlepszą by korzyść przyniosła. Wracając zatem do rzeczy i chcąc jakieś przedsiębiorstwo rozpocząć, potrzeba przedewszystkiem mieć do tego potrzebny kapitał. — Ażeby więc zebrać potrzebne pieniądze, pozwolę sobie zrobić uwagę, że musiałaby się zawiązać Spółka z ograniczoną poręką. Myślę, że gdyby się nasi dobrze myślący urzędnicy, gorzelnicy, leśnicy i wszyscy oficyaliści, kupcy, księża, inteligencya wogóle, a sądzę, że znaleźliby się i przyłożyliby dużo materyału do bu-

dowy gmachu i nasi pp. pryncypałowie (gdyż jak niżej przytoczę i ci by mogli mieć z tego znaczne korzyści) dalej i ci panowie, którzy majątki już sprzedali i kapitały swe w bankach przy lichem oprocentowaniu ulokowali niezawodnieby i ręki, rady i grosza do dobrej sprawy dołożyli; a i nasi poczciwi gospodarze, jak wszędzie, gdzie o dobro publiczne chodzi, się nie cofają, tak by i tu w tyle nie pozostali. Gdyby więc ci wszyscy swoje kapitaliki zespolili, a choćby tylko na początku (gdyż nie brakłoby i takich, którzyby na rzecz się pesymistycznie zapatrywali) każdy dziesiąty udział wziął, zebrałaby się ładna sumka i byłoby na założenie fundamentu. Mając zgromadzony jakiś kapitał, cóżby można nim rozpocząć?

Oto możnaby, zakupywać w dzierżawy brać majątki, przyjmować majątki w poręczającą administracyą i na tych majątkach obsadzać zdatnych urzędników członków, a dochód płynąłby na rzecz Towarzystwa. Dalej możnaby udzielać kredytu członkom za poręczeniem żyrantów na dzierżawy, udzielanie kredytu na kaucye i t. d.

Jakieby z tego, oprócz zysków i dywidendy mogli mieć korzyści uboczne członkowie?

Znaleźliby miejsca urzędnicy, gorzelnicy, leśnicy, wogóle oficyaliści, których nawet bardzo zdatnych ludzi pełno siedzi w większych miastach i miasteczkach na bruku bezczynnie, i ostatni grosz, któryby się tak bardzo mógł przydać ogólnej sprawie...., spożywają.

Panowie obywatele ziemscy chcący swe majątki wydzierżawić, nie potrzebowaliby szukać dzierżawców i administratorów między inną narodowością, gdyż mając kontrolę, poręczenie i kapitał całego Towarzystwa, pewniejby majątki swe oddać mogli, i z pewnością nie narażaliby się na straty i upadek dzierżawcy, jak się to często zdarza. Kupcy członkowie mogliby zaś zakupywać produkta rólnicze, i dostawiać do majątków potrzebne towary. Jużby taka sprawa mogła wyjść na dobre nie tylko urzędnikom, ale i całemu społeczeństwu pol., a przytem ubytkowi ziemi naszej wobce ręce. Pozwoliłem sobie naszkicować powyższą odezwę, i proszę szanownych ziomków o zabranie głosu w tej sprawie, i czyby ewent. porozumienie dalsze nie było na czasie?

A. z Z. z Wągrowieckiego.



Z kraju i z obczyzny.

W Paryżu istnieje „Towarzystwo pracujących Polaków“.

Złożone przeważnie z robotników, przechodziło różne koleje, liczyło czasami wielu członków, czasami mało, ale ostatecznie nie utonęło w powodzi czasu, jak tyle innych organizacyi polskich w stolicy francuzkiej. — W ostatnich latach, dzięki ruchliwości kilku członków, a w szczególności swoich sekretarzy, pana Tylickiego, po jego wyjeździe zaś p. Śliwińskiego (brata sympatycznego artysty), objawiło znowu żywotność. Najważniejszym jej znakiem jest wytworzenie przed kilku miesiącami w łonie towarzystwa tak zwanego „Wydziału samokształcenia“.

„Wydział samokształcenia“ zabrał się bardzo raźno do pracy. Mała znajomość własnej przeszłości wśród szerszego ogółu Polaków — zaznacza on w swej odezwie — skłoniła go do urządzenia przedewszystkiem wykładów publicznych historyi Polski. Znalazł w tym względzie życzliwe poparcie. Pokaźne grono osób ofiarowało swój współudział.

Całą historyę Polski podzielono na czternaście części, a tytuły prelekcyi dowodzą same, że wykładający wzięli sobie za zadanie kłaść nacisk na rzeczy ważne i charakterystyczne. Wykładów podjęli się pp.: W. Bugiel, p. K. Dembińska, dr. Górski, prof. W. Gasztowt, S. Kośmiński, Władysław Raymont, dr. Gierszyński. Odbywają się one w lokalu Towarzystwa (3 bis, place de la Sorbonne) co drugą niedzielę o drugiej po południu.

Zarazem „Wydział samokształcenia“ pamiętał i o tem, że Paryż zawiera skarby cywilizacyi, i że jeśli ma się skorzystać z bytności w tem mieście, należy je poznać. Myślę o licznych muzeach.

Są tu zaś, jak powiadano, robotnicy, którzy mimo pobytu w Paryżu od kilkunastu lat, nie byli w żadnem z nich! Wydział więc ułożył program dwunastu przechadzek do rozmaitych muzeów, przyczem dla objaśnień towarzyszyć będą robotnikom ludzie świadomi rzeczy.

Nadto postarało się Towarzystwo pracujących Polaków o siedem odczytów na każdem ze swoich miesięcznych posiedzeń. Miło mi zaznaczyć, że młodzież w tej pracy odczytowej wzięła znaczny udział.

W końcu „Wydział samokształcenia“, chcąc ułatwić Polakom na obczyźnie nabywanie polskich książek, sprowadził znaczny zapas najnowszych, przeważnie tanich wydawnictw, sprzedając je o 5% niżej od cen katalogowych, dzięki umowie, jaką zawarł z księgarzami.

Czy pomysły te odniosą mniej lub więcej znaczny skutek, w każdym razie są sympatyczne i godne uznania. Jeśli tylko szczupłe grono ludzi warsztatu i fabryk skorzysta z wykładów i zwiedzań, jeśli tylko w kilku jednostkach obudzi się żywiej myśl, to już cel będzie w znacznym stopniu osiągnięty.

D. P.

Polacy w Nowej Zelandyi. Na południo-zachód od Australii, w odległości 245 mil od niej, leży grupa wysp, nosząca nazwę Nowej Zelandyi. Zdawałoby się, że ogromna odległość od lądu stałego i ognisk cywilizacyi powstrzymać powinna przybyszów z Europy od szukania tu szczęścia, i, że prócz ludności tubylczej, zwanej maorysami, jedni chyba Anglicy i Niemcy w poczuciu wielkiej swej misyi cywilizacyjnej oczy swe zwrócą na tę podbiegunową grupę wysp. A jednak gorączka emigracyjna i nadzieja polepszenia bytu, która w ciągu ostatniego dziesiątka lat tyle tysięcy włościan polskich skłoniła do wychodźtwa, i tu znalazła swoje ofiary. Jak się dowiadujemy z listu, nadesłanego z Nowej Zelandyi do „Misyi katolickich“ przez polskiego kolonistę, między przybyszami europejskimi znajduje się tu kilkuset Polaków. Byt ich materyalny jest różny, stosownie do ilości przywiezionej z sobą z kraju gotówki. Bogatsi gospodarują na własnych gruntach, a są tacy, którzy ich posiadają do 200 akrów (około 145 mórg polskich). Ubożsi wynajmują się na dnie lub tygodnie za opłatą 7 do 8 szylingów dziennie lub 25 do 30 szylingów tygodniowo. Warunki miejscowe nie pozwalają polskim kolonistom na zamieszkanie razem, rozrzuceni też są po kilku przy drogach, prowadzących do kolei.

Gospodarstwo mleczne jest tu bardzo rozwinięte; głównem też zajęciem posiadaczy gruntów jest prócz zwykłych czynności, połączonych z uprawą roli, także hodowla bydła. Każdy rolnik posiada przeciętnie 20 do 40 sztuk krów dojnych. Dla ułatwienia sobie zbytu produktów rolnych, związali się koloniści tutejsi bez różnicy płci i narodowości w spółki rolnicze. Spółki te rozporządzają maszynami, które przerabiają na masło przywożony przez każdego z członków nabiał. Masło to, odstawiane do Anglii, znajduje zbyt na targach londyńskich. Gospodarstwo mleczne, w tak racyonalny sposób prowadzone, daje kolonistom wcale niezłe dochody i pozwala im nawet po opędzeniu kosztów codziennego życia, odłożyć nieco grosza na czarną godzinę. Tak, nap. ów korespondent „Misyi katolickich“ miał, jak sam przyznaje, w ciągu roku z 21 krów 125 funtów szt. czyli obliczywszy na brazylijskie pieniądze według obecnego kursu, 4 325 milreisów dochodu. (U nas, w Kurytybie, sprzedają po 58 za kilo masło, wyrabiane przez Niemców z Blumenau w stanie S-ta Catharina. A przecież, gdyby nie nasza polska niezaradność, moglibyśmy nie tylko karmić Kurytybę masłem własnego wyrobu, lecz jeszcze wysyłać je, odpowiednio zakonserwowane, do innych krajów, i robić w ten sposób świetne interesa. Warto się nad tem porządnie zastanowić).

Jak z jednej strony polscy koloniści tamtejsi na byt swój materyalnie narzekać nie mogą, tak z drugiej zaspokojenie potrzeb duchowych bardzo wiele pozostawia do życzenia. Kościół mają wprawdzie i szkołę przy nim także, ale brak im księdza, z którymby się porozumieć mogli w rodzinnej mowie, brak nauczycieli polskich dla dziatwy.

Mimo to jednak używają opinii trzeźwych i sumiennych robotników i księża tutejsi chwalą ich bardzo. A oni nie tracą nadziei, że doczekają się wreszcie przybycia duchownego, który do nich przemawiać będzie w zrozumiałym języku i dzieci ich uczyć mowy ojczystej. Pragnienie to i nadzieja przebijają się w końcowym ustępie listu polskiego wychodźcy, który pisze: „My tutejszych księży miłujemy, i za usługi im, ile możności, dajem. Ale nam bezustannie marzy się w głowie o naszych księżach, o naszym kochanym polskim języku“.

K.



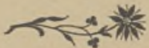
Piosenka.

Oczy biegną w przestrzeń złotą,
Poprzez liści gąszcz splątaną,
Gdzie ostatnią drżąc pieszczotą,
Słońce spada w toń różaną;
Cisza senna świat owinie
I kołysze słodko, miękko,
A nad światem piosnka płynie —
Płyń, piosenko!

Myśl w dal leci nieskończoną
Przez wspomnienia, przez nadzieje;
To w niej iskry Boże płoną,
To w niej ludzki śmiech się śmieje...
Aż u progu niebios toni
Chmurką staje się maleńką.
A piosenka dzwoni, dzwoni —
Dzwoń, piosenko!

Serce młode w dal ucieka,
Gnane nowej wiosny siłą:
Coś go woła, coś go czeka...
Lecz czyż szczęścia tam nie było,
Że w pierś pustą smutne wraca,
Z nieziszczonych marzeń męką?
Snów i piosnek smutna praca...
Zgiń piosenko!

Anna Kłopotowska.



Luźne kartki.

Wiadomo, że u nas najwięcej czytelników mają pisma codzienne i tygodniowe w cukierniach. W pewnych godzinach spragnieni nowin i strawy umysłowej zbierają się tam nader licznie; weszło to w obyczaj mieszkańców Poznania i nie odstrasza ich w danym wypadku ani brak miejsca, ciasnota i zaduch, ani złe oświetlenie, ani najokropniejszy stan porozrywanych w strzępy dzienników i tygodników. Wiadomo też, jak silny wpływ ma otoczenie na zachowanie się jednostek. Więc i tutaj, zasiadający przy stolikach cukierni czytelnicy, ludzie nieraz wyższych potrzeb i wykwintnych manier, jakby przystosowując się do brudnego otoczenia, zachowują się nader bezceremonialnie, pogarszając stan rzeczy pluciem na posadzkę i rzucaniem wszędzie ogryzków od cygar i papierosów.

Wywiera to pod każdym względem ujemny wpływ. Jałowe, próżniacze życie kawiarniane jest zabójczem dla wszelkiej pracy; beztreściwe „politykowanie“, jakie wśród stałych gości pewnych lokali się rozwija, jest wprost szkodliwem społecznie i politycznie. Pomijamy tu i tę okoliczność, że przesiadywanie całemi godzinami w brudnych zakopconych pokojach nie może być zdrowem. Tępienie tego z pozoru nieszkodliwego, a jednak tak niebezpiecznego zabijania czasu powinno też przysporzyć tematu dla „naprawy obyczajów“, o której się dziś tak wiele mówi i pisze.

* * *

Na podstawie ostatniego spisu ludności w państwie niemieckiem ogłoszono właśnie statystykę, zawierającą kilka ciekawych szczegółów o stosunkach prowincyi polskich.

Zaludnienie W. Księstwa Poznańskiego wzrasta powolniej niż w innych prowincyach monarchii pruskiej, gdy bowiem w całem państwie ludność wzrosła od roku 1890—1895 przecięciowo rocznie o 1,23 proc., to w Księstwie tylko o 0,86. Przyczyną tego jest głównie wychodźtwo, skutkiem którego ubyło w Księstwie w powyższym okresie 119.205 głów.

Co do narodowości jest ludność silnie mieszana. Stosunek między Polakami a Niemcami nie da się w cyfrach dokładnie oznaczyć. Jeżeli jednak weźmiemy język ojczysty za decydujący tu czynnik, na ludność polskiej narodowości przypada okrągłe 60 proc. Ludność polska przeważa więc, najsilniej reprezentowaną jest ona w geograficznie zamkniętem terytoryum, które się rozciąga od powiatów szamotulskiego i szubińskiego na północy aż do Kępna na południe. Przeważnie niemieckiemi są natomiast niektóre miasta a mianowicie północne i zachodnie powiaty nadgraniczne dzielnicy.

Wysoki stosunkowo procent ludności tworzą żydzi. Podczas gdy w r. 1895 należało w całem państwie 10,000 obecnych na miejscu osób 124 do wyznania mojżeszowego, liczono w Księstwie na 10,000 mieszkańców żydów 253. Tylko miasto Berlin i prowincya hesko-nasawska wykazują pod tym względem jeszcze wyższe cyfry.

Ludność jest przeważnie zajęta w rolnictwie. Wedle spisu zawodowego z r. 1895, należało na 100 mieszkańców do grupy rolnictwa i temu podobnych 69,67, do przemysłu i rzemiosła 22,55, handlu i ruchu 7,78 proc. Prusy Wschodnie i Księstwo mają w grupie przemysłu i rzemiosła najsłabszy udział ze wszystkich dzielnic monarchii pruskiej. W handlu i przemyśle stoi Księstwo również daleko po za przeciętną cyfrą.

* * *

Skarby nagromadzone w Gołuchowie, mało były dotychczas znane dalszym kołom publiczności, pochodzi to jednak ztąd, że wstęp do zamku stanowczo był osobom prywatnym wzbronionym. Owdowiała Izabela Działyńska z domu księżna Czartoryska, wyszła za mąż za hr. Jana Działyńskiego, który umarł w Paryżu w r. 1880. Hrabina Izabela, która właśnie nagromadziła tyle przedmiotów sztuki do zamku w Gołuchowie, żyła także po największej części w Paryżu.

Gołuchowo, oddalone tylko o 2 km. od granicy rosyjskiej, ma park, obejmujący 800 mórg i 1100 mórg uprawnej ziemi. Są tam trzy budynki, stary zamek, nowy, i jeden budynek gospodarczy. W parku znajduje się ogród botaniczny, a w nim wszelkie rośliny, jakie tylko istnieją.

Z Pleszewa jedzie się końmi mniej więcej 1 i pół godziny do Gołuchowa. Stary zamek, wybudowany około r. 1560, należał do rodziny Leszczyńskich. Potem przeszedł na własność Kalksteinów, a w końcu kupił go hr. Działyński. Dziedziniec zamkowy jest w włoskim stylu, o licznych loggiach, później jednak, przy odnawianiu, nadano mu charakter francuski. Znajduje się tam muzeum, nie zabierające jednak zbyt wiele miejsca. Wszystkie sale w zamku są istne muzea.

Do właściwego muzeum wiodą z dziedzinca schody, na końcu ich jest prawdziwa pizańska Madonna. Pierwsza sala nosi miano „polskiej“. Są tu jedynie polskie starożytności, zbroje, siodła itd., będące niegdyś własnością ostatnich króli polskich, pomiędzy temi zaś odznaczają się przepyszne, czterokolorowe pasy. Oprócz tego znajduje się tu jeszcze jedna tylko monstrancya. W następnej sali są bogate zbiory wyrobów z brązu. liczne obrazy itd., a wszystko prawdziwe i najlepsze. Najpiękniejszą ozdobą jest szafka emaliowana i przepyszne wazony z 17 i 18 wieku. Górna część jednego marmurowego kominka jest ozdobiona płaskorzeźbą dłuta Lucci della Robia, przedstawiającą ogromną Madonnę, a mającą bajeczną prawdziwie wartość. Trzecia sala zawiera wykopaliska z Ksiestwa Poznańskiego. Widać tu urny, przedmioty z brązu, a mianowicie dwie piękne sprzączki, znalezione przy oraniu. Z tej sali wchodzi się do właściwego zamku, w którym mnóstwo jest pokoi. Wszędzie tam są dzieła sztuki, nawet zawiasy u drzwi i sufity rzeźbione z drzewa. Wszystkie drzwi rzeźbione z ciężkiego drzewa dębowego są arcydziełami. Pierwsza sala przeznaczona jest dla antyków. Na półkach i w szafach, stojących wzdłuż ścian znajdują się wazony greckie, etruskie i cypryjskie i wspaniały zbiór figur tanagra. Podpadają także tutaj wszelkie, jakie tylko istniały, wagi greckie, rzymskie i bizantyńskie. Do sali tej przytyka sala egipska, pełna starożytności egipskich; znajduje się tam także jedna mumia i witryna o szkłach fenickich i egipskich. Sciany są pokryte francuskiemi jedwabnemi materyami i gobelinami. W egipskiej sali znajduje się także oryginalny rysunek Artura Grottgera, przedstawiający pochód skazanych na Sybir. Teraz następuje pokój ks. Czartoryskiej. Tutaj dużo jest obrazów polskich malarzy. Znajduje się tu także łóżko z kotarą z starych chińskich materyi, dwie kanapy i dwa fotele, pokryte staremi japońskiemi materyami. Całe urządzenie zamku jest dziełem hrabiny, która sama układała plany.

Schody są również arcydziełem, a raczej będą niem, obecnie bowiem są dopiero w robocie rzeźbiarskiej. W małym pokoju na pierwszem piętrze jest kominek, ozdobiony płaskorzeźbą Donatella. Obok tego pokoju jest sala hiszpańska, cała ozdobiona hiszpańskiemi obrazami, które jednak nie są tak kosztowne jak inne. Sypialnia hrabiny jest najwięcej godną widzenia, ponieważ tutaj znajduje się jedno z nader nielicznych „łóżek do-ży“. Łóżko to, bogato zdobne w sztuk i rzeźby, ma jeszcze mnóstwo t. zw. całych figur, wybornie zachowanych, kilka tylko jest cokolwiek uszkodzonych.

Oprócz tego wspaniałego mebla jest tu szafa portugalska, wykładana kością słoniową i perłową macicą. Sciany zawieszone kosztownemi gobelinami, a najpiękniejszą ich ozdobą obraz Dürera, przedstawiający mękę Chrystusa. Równie wspaniałym jest przyległy pokój, wykładany rzeźbionem drzewem hebanowem. Drzwi także są hebanowe. Przez salon jadalny wychodzi się z tego pokoju na loggie, miejsce przechadzki poobiedniej. Loggie te mają posadzkę mozaikową, a jedyną ich ozdobą obraz mozaikowy, przedstawiający Pallas Athene. Jako pendant kupiła hrabina w Paryżu jeszcze jeden obraz mozaikowy. Oprócz tego jest tu 7 medalionów cesarzy rzymskich.

Z loggii wiedzie prosta droga do biblioteki, składającej się przeważnie z dzieł polskich i francuzkich. Są tu tak rzadkie egzemplarze, jakich nawet biblioteka berlińska nie posiada. Półki rzeźbione, ogromną mają wartość. Jest tu także zbiór miedziorytów, przedstawiających głównie sceny z życia Kościuszki i Poniatowskiego. Kałamarze w bibliotece pochodzą z przeszłego stulecia i są również arcydziełami. Z biblioteki idzie się na drugie piętro, gdzie wisi 21 gobelinów, prawdziwych chińskich, z najkosztowniejszego jedwabiu.

Właściwem mieszkaniem hrabiny jest nowy zamek, który chociaż staremu nie wyrówna wartością artystyczną, to jednak bardzo jest wytworny, i urządzony wspaniale w stylu nowo francuzkim. Oprócz znacznej liczby pięknych obrazów, pomiędzy któremi prawdziwy Rembrandt pierwsze zajmuje miejsce, może się nowy zamek poszczycić umeblowaniem salonu, pochodzącem z czasów Ludwika XV.

Widzimy z tego wszystkiego, że warto zwiedzić zamek w Gołuchowie, tem więcej, że wycieczka taka nie jest ani zbyt kosztowną, ani męczącą. *Omikron.*



Z ojczystych stron.

XVII.

Września.

„A czy znasz ty bracie młody,
„Twojej ziemi bujne płody,
„Twe kurhany i mogiły,
„I twe dzieje, co się śmiły?“

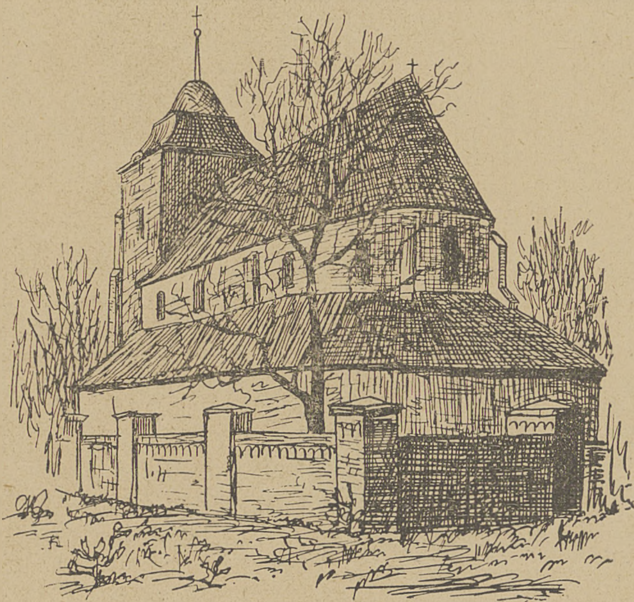
Miasto Września leży, jak wiadomo, bardzo blizko granicy „Wszechrosyi“, nad rzeczką Wrześnicą, albo jak ją niektórzy nazywają „Strugą“, która latem sucha, zamienia się zimą i na wiosnę na szumiący potok i wpada do Warty. Września ma swój początek w 14 stuleciu, a musiała być wówczas dużem dosyć miastem, bo miała obowiązek dostarczenia w razie wojny 15 zbrojnych żołnierzy, co bardzo było wysoką liczbą. W 15 wieku miała Września już prawa miasta. Handel i przemysł stały tutaj widocznie na wysokim stopniu, w kronikach bowiem czytamy o prowadzeniu handlu z Szląskiem i Gnieznem. Przyczyniało się do tego głównie korzystne położenie, kupcy bowiem, jadący z Szląska do Prus Wschodnich, musieli tędy przejeżdżać.

Od r. 1496 aż do pierwszej połowy 17 wieku nic o Wrześni nie wiemy, żadnych z tych czasów nie zostało ani kronik ani dokumentów. Że podczas wojen szwedzkich musieli tu gościć wojska szwedzkie i niemieckie, dowodzą istniejące do dziś jeszcze szańce, a nie trudno zgadnąć, w jaki sposób gospodarowali w mieście i okolicy nieprzyjaciele. W tym też czasie osiedlili się w Wrześni pierwsi lutrzy i wybudowali sobie kościół, z którego jednak nie zostało ani śladu. Najstarszy dokument pochodzi z r. 1671 — są to przywileje miasta, nadane Wrześni dnia 8 stycznia tegoż roku. Dokument ten znajduje się w archiwum poznańskiem. Napisany jest po polsku i wystawiony przez Zygmunta z Działynia Działyńskiego, wojewodę z Brześcia Kujawskiego, a tytuł jego brzmi mniej więcej: „Przywileje, tyczące potwierdzenia wszelkich wolności i sprawiedliwości miasta Wrześni przez Zygmunta Działyńskiego, z powodu spalenia się nadanych przywileji w czasie ostatniego pożaru.“ Raz jeszcze potwierdził je Kazimierz na Niegolewicach Niegolewski. — Z treści owego dokumentu, możemy powziąść pewne wyobrażenie o stosunkach ówczesnych miasta, i wspomnieć zaraz musimy, że było tam pewnie dużo żydów i że Września posiadała swoje Ghetto, mowa bowiem często o ulicach „z żydami“.

W 17 wieku należała Września do hr. Ponińskiego. Przy końcu 18 wieku składało się miasto z dwóch gmachów publicznych, dwóch kościołów katolickich, jednego ewangelickiego, jednej synagogi i 214 domów mieszkalnych. Rynek istniał już wówczas, a na środku drewniana studnia miejska, koło której zgromadzali się często obywatele, gdy chodziło o jaką ogólną naradę lub udzielenie sobie nawzajem najświeższych nowin. Domy były jednopiętrowe, zbudowane z gliny i z dachami z słomy lub szkudeł, tylko jeden miał dachówkę. Okna były małe, drzwi podwójne i pokoje skromne, tak, jak cały sposób życia mieszczan.

Mieszkańców liczyło miasto 1276, z tych aż 500 było żydów, a niespełna 100 lutrów. Rzemieślnicy dzielili się na cechy, z których najstarszym jest cech młynarski, założony w roku 1791. Młynów było tam wówczas 7, szewców zaś 24, krawców 8, kożuszników 12, 1 kołodziej, 2 kapeluszników, 10 rzeźników, 3 stolarzy, 3 płócienników i 1 kupiec tabaki. Głównem zajęciem obywateli było jednak rolnictwo. Oprócz tygodniowych targów odbywało się co rok 7 jarmarków, co dowodzi wielkiego rozwoju handlu. Ale pomimo to nie byli mieszczanie bogatymi, tak, że czasem kasa miejska musiała zaciągać pożyczki. Może być, że żydzi wyzyskiwali zanadto obywateli, bo w wszystkich innych miastach, w których tyle żydowstwa nie było, panowała zamożność i dobrobyt. Środki żywności nie kosztowały wtenczas wprawdzie wiele, za krowę płacono 10 tal., za tłuste cielę 25 srbr. gr., za funt mięsa 5—6 fen.

Co do ludności, to, jak już wspomnieliśmy, była ona przeważnie katolicką. Były tam dwa kościoły — o jednym z nich, najstarszym, żadnych bliższych niema wiadomości i trudno przypuszczać, aby nim miała być owa mała kapliczka św. Krzyża nad żwirówką poznańską. W każdym razie jest drewniana ta kapliczka, ozdobiona wieżą, bardzo stara. Obejmuje tylko 50 osób i bywa otwieraną tylko w niektóre święta. Leży na bardzo pięknym wzgórzu, w otoczeniu starych, pięknych drzew. U stóp pagórka płynie Wrześnica, a w pobliżu wznosi się studzienka z małą wieżą, w której znajduje się cudowne źródło. Drugi kościół stoi przy ulicy Poznańskiej, architektoniczne zaś jego zarysy wskazują, że został wybudowanym w końcu 15 stulecia. A zatem i ten kościół patrzy już na 400-letnią przeszłość! Patronami jego byli od stu lat przeszło hr. Ponińscy, których przodkowie spoczywają w sklepach kościoła. Jak wszystkim naszym czytelnikom wiadomo, był nasz Najprzewielebniejszy ks. Arcybiskup Stablewski długie lata proboszczem we Wrześni. — Od stu lat istnieje tam katolicka szkoła. Gdy ją zakładano, był tam nauczyciel, który w czasie żniw szedł pracować na pole, a zimą utrzymywał się z „uczciwego rzemiosła.“



Kościół katolicki we Wrześni.

Jak już wspomnieliśmy, było w Wrześni dużo żydów. Musieli oni spłacać długi, jakie zaciągnęli od kościołów katolickich, nietylko w mieście samem; i tak czytamy w kronice z r. 1783, że konwentowi kanoników w Trzemesznie byli winni 2120 złp., kościołom w Wrześni 3665 złp. i 2365 złp.; kościołowi w Bardzie 1000 złp., w Słupcach 2200, w Poznaniu, klasztorowi Benedyktynów 1350 złp., w Targowej Górce 4000 złp. i w Łenczycy 1000 złp. Oprócz tego musieli niektórym kościołom dostarczać wosku na świece.

W r. 1750 została tu założona gmina ewangelicka, co ówczesny dziedzic Wrześni, hr. Maciej Poniński, chorąży wschowski, potwierdził własnoręcznie spisanym

dokumentem. Ewangelicy mieli wszelką wolność i swobodę odprawiania swych nabożeństw i posiadali zupełne równouprawnienie z katolikami. W r. 1778 podarował im nawet Adam Poniński, w. skarbnik koronny, ziemię pod kościół i cmentarz, jednem słowem, starano się pod każdym względem o pomyślność i rozwój nowej gminy, bo Polacy zawsze przyjmowali gościnnie innowierców, nie myśląc o przyszłości, a w przekonaniu, że wszyscy są i będą równie szlachetnymi.

W r. 1816 liczyła Września 2,319 mieszkańców, w r. zaś 1895 5150 i to przeważnie Polaków.

W r. 1848 byli Niemcy tu w wielkim strachu, gdy wybuchło powstanie, i gdy na ulicach zaroiło się od ludu, uzbrojonego w strzelby, siekiery i kosy, i uspokoili się trochę dopiero wtenczas, gdy wojsko polskie opuściło miasto dnia 15 kwietnia o godzinie 9 rano. Po bitwie pod Wrześnią, wciągali podobno żydzi rannych do swoich domów i pastwili się nad nimi w najokropniejszy sposób. dopiero gdy na ulicach rozległ się krzyk: „Prusacy idą“, uciekli żydzi i Polacy uwolnili nieszczęśliwych z ich straszliwego położenia. O zwycięzkiej a krwawej bitwie pod Sokołowem pisała już „Praca“ w roku zeszłym. Prusacy cofnęli się aż do Gniezna, podczas kiedy Mierosławski rozłożył się obozem koło Gulczewa. Wiadomem jest również, że koło Sokołowa wystawiono pomnik na pamiątkę poległych pod Wrześnią. (Opis bitw pod Książem, Miłosławiem i Wrześnią zamieszczony jest w roczniku „Pracy“ z roku zeszłego na stronie 309, 330 i 345. — Przyp. Red.) Od tego czasu są losy Wrześni zupełnie takie same, jak losy innych miasteczek pod pruskim zaborem. Wybudowano tu kilka nowych gmachów, pocztę, więzienie, lazaret itd., i Września robi wrażenie małego, ale schludnego miasta. Przemysł i handel przeważnie w polskich znajduje się rękach, a dobrobyt mieszkańców wzmógł się znacznie w ostatnich latach. Od 12 lat istnieje także cukrownia, która zniszczona w części przez pożar w r. 1894, jest teraz nowo odbudowaną i świetne robi interesa, dając akcyonaryuszom 45% dywidendy. Kolej żelazna, wiodąca od Poznania do Strzałkowa, ułatwia stosunki handlowe z Królestwem.

Kronikarz „Pracy“.



Nie lepsza, niż inne.

(Nowelka.)

Przed bramą cmentarza stoi wspaniała kareta. Można ją tam widzieć codziennie od kilku tygodni, a stangret Jan i lokaj Franciszek rozmawiają zwykle o tem, jak długo potrwa jeszcze kaprys ich pięknej pani, odwiedzania codziennie grobu męża.

— Zobaczysz — rzekł Franciszek z cynicznym uśmiechem — to tylko taka jesienna fantazya. W karnawale pojedziemy pewnie gdzieindziej.

Jan patrzy z oburzeniem na złośliwego towarzysza.

— Milcz — woła rozgniewany — nasza hrabina nie jest taka, jak inne. Czy nie pielęgnowała zmarłego całemi tygodniami, jak Siostra Miłosierdzia? A od czasu jak umarł, mdleje często, miewa kurcze serca...

— Wszystko udawanie — uśmiecha się lokaj.

— Wstydź się, niegodziwcze! — krzyczy Jan. — Wszakże wnosiłem ją sam zemdloną z ogrodu do pałacu, a była zimną i sztywną jak trup.

Franciszek wzrusza ramionami i zaraz potem pochyla głowę, hrabina bowiem właśnie się zbliża. Jest to bardzo jeszcze młoda, jasnowłosa, piękna kobieta, której wdzięczną postać uwydatnia czarna, długa suknia. Obecnie nie jest samą; jakiś młody człowiek, wytwornie ubrany, idzie obok niej. Franciszek otwiera drzwiczki karety, a hrabina, oparta na ręku kuzyna, wsiada i wychyla główkę przez spuszczone okno.

— Nie, Adamie — mówi — nie mogę cię zabrać z sobą i proszę cię, nie przychódź nigdy o tym czasie na cmentarz, te chwile należą do niego, wyłącznie do niego!

Hrabia Adam zagryza usta, potem uśmiecha się przymusowo i odchodzi.

Aż do połowy zimy jeździ Melania codziennie na grób męża, potem nagle — przestaje! Za to zaczyna bywać teraz w towarzystwach i na balach i wygląda prześlicznie w jasnopopielatych toaletach. Panowie zachwycają się nią, panie uśmiechają się złośliwie. A lokaj Franciszek zaciera ręce z zadowolenia, gdy słyszy z przedpokoju jej śmiech wesoły, i mówi do Jana:

— Czy nie miałem słuszności? Nie lepsza ona, niż inne!

Pewnego wieczora widzimy małe towarzystwo w jednym z najwytworniejszych salonów w mieście. Hrabina Melania, ubrana w białą adamaszkową suknię, wygląda, jak wodna lilja. Siedzi na małej kanapce, wysuniętej ku środkowi pokoju i rozmawia żywo z swoim kuzynem Adamem. Nagle milknie, marszczy czoło i zwraca oczy na piękną, młodą kobietę, ubraną zupełnie czarno, która właśnie w tej chwili wchodzi do salonu. Obecni zrywają się, witają nowoprzybyłą, wracającą co dopiero z dalekiej podróży, i zasypują ją komplementami. Melania i Adam zamieniają spojrzenie i uśmiechają się lekko. Kilka minut później staje kobieta w czerni przed Melanią i pyta drżącym głosem:

— Pani już zdjęłaś żałobę?

— A pani nosisz ją ciągle jeszcze? — odpowiada hrabina z gorzkim uśmiechem.

— Tak i to po zmarłym... bardzo memu sercu blizkim... którego pani nie znałaś — szepce kobieta w żałobie, spuszczając mimowoli oczy.

— O, przeciwnie, znam go bardzo dobrze — mówi Melania, wyjmując z kieszeni list jakiś. — List ten jest własnością pani, zabrałam go z sobą, wiedząc, że cię tu zastanę. Ten, po którym nosisz żałobę, zapomniał go zniszczyć przed śmiercią, i tak list ten dostał się w moje ręce. Nie wiedziałam, że pani byłaś tą, która mi zabrałaś serce mego męża. O, ile ja z twego powodu wycierpiałam! A przecież byłyśmy, o ile sobie przypominam, serdecznemi przyjaciółkami! I przez wzgląd na tę przyjaźń naszą cieszę się, że pani jeszcze „o nim“ nie zapomniałaś, chociaż zasługa twoja nie jest wielką. Bo pani byłaś jego kochanką, podczas kiedy ja byłam tylko jego — żoną!

— Melanio!

Baronowa zasłoniła twarz rękami.

— Nie obawiaj się niczego — dodała jeszcze Melania, a z twarzy jej zniknął wszelki wyraz gniewu — jest to ostatnie moje słowo w tej sprawie. Chciałam ci tylko wytłomaczyć, dla czego tak prędko zdjęłam żałobne suknie. Ale noszenie żałoby po człowieku, który przez całe lata tak haniebnie mnie zdradzał, wydawałoby mi się niegodną komedyą!

— — — — — — — — —

Gdy Melania późnym wieczorem wracała do domu w towarzystwie hrabiego Adama, rzekł Franciszek, zajmując swe miejsce na koźle obok Jana:

— No, i kto miał słuszność? Nasza pani i jej kuzyn zaręczą się wnet, a pan od pół roku dopiero spoczywa na cmentarzu! Nie lepsza ona, niż inne!

Jan smutnie potrząsnął głową.

Uwielbiał on hrabinę jak świętą, a teraz wykazało się, że jednak Franciszek — miał słuszność.

C. F.



ŻONA DOKTORA.

Powieść amerykańska.

(Ciąg dalszy.)

— Ale muszę się pana zapytać o jedno jeszcze, nie wiem tylko, czy się nie obrazisz?

— Pytaj pan o co chcesz!

— Znam treść listów, jakie żona pana pisała do Molworta — Gryce powiedział mi wszystko. Czy myślisz, że żona kocha pana teraz szczerze?

— Jestem o tem jaknajmocniej przekonanym!

— Że uczucie to nie jest wdzięcznością, albo szacunkiem, tylko miłością?

— Tak!

— A przed kilku miesiącami kochała tak gorąco innego! Wybacz pan, że mówię o tem, ale.....

— Nic nie szkodzi! Wiesz pan jednak, że taka bezgraniczna namiętność zamienia się łatwo w nienawiść. Może potrzeba jej było takiego doświadczenia, aby poznała prawdziwą miłość!

— I nie miałeś pan nigdy powodu uskarżania się na jej obojętność?

Kameron uśmiechnął się.

— O, gdyby nie kłopot, jaki teraz mam, — zawołał z uniesieniem, — byłbym najszczęśliwszym z ludzi!

Ale inspektor spojrzał na niego smutnie i badawczo.

— Nie mylisz pan się? — zapytał znacząco. — Bo pięknej kobiecie wierzy mąż łatwo i.....

— Obrażasz mnie pan, — przerwał doktor oburzony. — Wiem, że pytania te mają jakiś szczególniejszy cel, bo nie przypuszczam, abyś mnie dręczył umyślnie!

— Chcę się tylko dowiedzieć, czy panna Ewa Gretor była tak powierzchowną istotą, że dziś kochała tego, a jutro innego.

Kameron poznał, że odpowiadać na to byłoby niebezpiecznem, dla tego też milczał.

— Gdyby pomiędzy miłością jej dla Molworta, a miłością dla pana, — mówił inspektor dalej, — leżał długi przeciąg czasu. to bym się nie dziwił, ale taka zmiana uczuć w kilku godzinach..... no, ja na pana miejscu wątpiłbym trochę o jej wielkiem przywiązaniu!

Twarz Kamerona zbladła.

— Przyznałbyś mi pan słuszność, — dodał jeszcze urzędnik, — gdyby chodziło o kogoś innego!

— Może być — nie wiem! Straciłem już możność osądzenia tego. Czemu męczysz mnie pan tak okrutnie?

— Bo muszę!

— Czemu?

— Zaraz to panu powiem. Chociaż, przez wzgląd na stan zdrowia żony pana, nie mogę jej teraz uwięzić, to jestem jednak przekonanym, że ona wie o wiele więcej o śmierci Heleny Farle, niż to, co zeznała. Dla tego muszę ją stawić pod dozór policyi. Gdy wrócisz pan do domu, zastaniesz tam kobietę, którą przyjmiesz za dozorczynią chorej. Jest to cicha, spokojna, poczciwa i dyskretna kobieta, nie zdradzi ani pana, ani nas, ale służy tajnej policyi. Czy mogę na to liczyć, że nie stawisz jej pan żadnych przeszkód w wypełnianiu obowiązków?

— Nie pozostaje nic innego, jak przystać na pana żądanie, — odrzekł Kameron z gorzkim uśmiechem.

— Wierzaj mi pan, że czynię to niechętnie! Mam serdeczne dla pana współczucie i.....

— Nie rozumiem tylko takiego ścisłego dozoru, jeżeli pan nie wiesz, czy tu rzeczywiście morderstwo zostało popełnionem.

— Ale pani Kameron jest jedyną, która może prawdę wyjaśnić. Gdyby można Molworta zmusić do mówienia....

— On musi powiedzieć wszystko! Udam się do niego!

— Możeby usłyszenie prawdy mniej panu było przyjemne, niż teraz sądzisz, — szepnął inspektor poważnie.

— Myślisz pan? Ach, nic już gorszego być nie może, jak te wątpliwości, ta niepewność. Jeżeli on zna szczegóły towarzyszące śmierci Heleny Farle, to musi wiedzieć, co dla mnie milczenie jego znaczy, nie może więc obstawać przy zachowaniu tajemnicy!

— Molwort nie da się niczem nakłonić do złamania przyrzeczenia!

— Ale on nie wie jeszcze, że moja żona wyznała, że dziewczyna ta umarła w jej pokoju!

— Powiesz mu pan o tem?

— Jeżeli pan nie masz nic przeciwko temu?

— Myślę, że to nie wystarczy do zmuszenia go do powiedzenia wszystkiego. Jeżeli nie cofnął się przed krzywoprzysięstwem, aby nie narażać żony pana na nieprzyjemności, to i teraz milczeć będzie!

— Moje prośby zmiękczą jego serce, rozpacz doda mi sił! Chyba, że jest człowiekiem bez serca!

— Szkoda, — rzekł inspektor, — że nie możesz pan próbować szczęścia! Bo niestety, muszę pana uwiadomić o tem, że Molwort wyjechał na dłuższy czas!

— Wyjechał?

— Tak, i to prawdopodobnie do Chicago.

— Ależ wyjazd ten równa się ucieczce! Więc on jednak czuje się winnym!!

— Czego? Morderstwa?

Pytanie to wróciło przytomność doktorowi. Dowody, że Helena Farle umarła przed przybyciem Molworta do domu państwa Gretor, były niezbite, nie było też żadnej przyczyny, dla jakiej wielbiciel Ewy miałby pragnąć śmierci dziewczyny, której wina polegała na tem, że chciała zająć w świecie miejsce swej siostry. Kameron żałował swego niebacznego pytania, a jednak..... Dla czego Molwort tak nagle wyjechał? Dla czego uciekał, jeżeli czuł się niewinnym?

— Juliusz Molwort posiada klucz tej zagadki! — zawołał Kameron teraz żywo, — inaczej nie opuszczałby miasta, w którem powinna go zatrzymywać ważna kuracya pewnej ciężko chorej kobiety. Nie pozostaje mi zatem nic innego, jak jechać za nim, i zmusić go do wyznania prawdy!

— Możesz pan opuścić żonę?

— Nie mam wyboru! Z temi nierozwiązanemi pytaniami i podejrzeniami nie mogę żyć dłużej! Muszę stawić dowód niewinności Ewy, chociażbym miał życie poświęcić!

— Więc jedź pan, ale....

Inspektor nie mówił więcej. Obok całego współczucia, jakie miał dla Kamerona, drżał na myśl odkrycia, jakie biednego czekało.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Maciek w powstaniu.

(Ciąg dalszy).

Kosynierzy zaczęli żartować. Maciek nic nie odpowiadał, jechał chmurny i zamyślony. Zaledwo go rozweseliły ognie obozowe i zapach krupniku, roznoszony przez buchającą parę z kotłów.

Oddział stanął w porządku, karabiny złożono w kozły, kosy powbijano w ziemię, dla oswobodzonych rekrutów przeznaczono największy barak.

Komenda szła ostro; poważnie było i cicho. Dopiero przy wieczerzy i krupniku posypały się przechwałki z odniesionych zwycięztw, opowiadania o przygodach podczas ognia i boju. Każdy mówił swoje, każdy rad był powiedzieć wszystko odrazu przed innymi. Maciek zmęczony słuchał i milczał, rana mu dokuczała, senność siadła na oczach i zamykała powieki. Wziął karabin, poszedł do baraku, położył się, broń przytulił do siebie i zasypiał jakoś ciepło i serdecznie. Rad by był, aby mu stanęła przed oczami ta pani biała w srebrnej szacie, z gwiazdami nad czołem. Nie przyszła — zasnął.

Nad świtaniem, przyświecając latarką, zbudził go felczer; odwiązał ranę, wyrzucił krwią nasiąknięte szarpie i założył nowe.

— Maciek, dziękuj Bogu, za trzy dni będziesz zdrów... Pamiętajże rano jakoś się ocharużyć, umyć, uczesać. Staniesz przed dowódzcą, cały obóz będzie na ciebie ślepia wytrzeszczał.

— Bez co? — spytał zaciekawiony Maciek.

— Zobaczysz, tymczasem się prześpij, to lepiej skrzepniesz.

Maciek nie mógł zasnąć, lecz i myśli nie mógł zebrać. Wspomnienia ubiegłych dni tłoczyły się bezładnie do jego mózgu, nie miał sił ich uporządkować i zapanować nad niemi. Wiedział tylko tyle, że gdy szedł z Kaśką do Bodzentyna, był okrutnie głupi i że teraz dużo rzeczy rozumie, których dawniej nie rozumiał. Tak sobie myśląc, przewrócił się na drugi bok.

Zbudziły go bębny i kawaleryjska trąbka. Zerwał się, wyjrzał. Różowa jutrzenka zapaliła ciemny las, wierzchołki drzew płonęły. Jakoś mu dobrze było na sercu, ochoczo. Łeb bolał, ale mniej czuł się raźniejszy, animusz, odwaga i nadzieja, wstępowały w niego. Przyniesiono mu wody ze strumienia, umył się, czerwoną wstążkę od koszuli wyciągnął na kożuszek, baranicę zmienioną na strzelecką krakuskę otrzepał, karabin wytarł sukmaną, bagnet nasadził, założył ładownicę, z dwudziestoma nabojami i wyszedł.

Obóz stał pod bronią, kosynierzy zajęli dwa boki czworoboku, tuż przy nich strzelcy, odebrani moskalom rekruci i pluton kawaleryi. Starszyzna stała w środku, bębny przed szeregami. Maciek zajął swoje miejsce.

Wywoływano z kolei rekrutów. Leśni i służba dworska dostali karabiny, tworząc nową kompanię strzelców, reszcie rozdano kosy.

Stanęły dwa plutony nowych strzelców po czterdziestu ludzi...

— Maciek z Mirca — przeczytał służbowy kapitan.

— Jest — odparł Maciek, blednąc ze wzruszenia.

— Naprzód, marsz!...

Maciek chwiejąc się na nogach wyszedł z szeregu, stanął i sprezentował broń. Dowódzca zbliżył się do niego i kładąc rękę na jego ramieniu, zaczął głośno.

— Za rozumne wybranie miejsca na zasadzkę, za dzielność i odwagę w boju, za wytrwałość, mianuję cię pierwszym podoficerem w pierwszym plutonie strzelców.

Bębny uderzyły, strzelcy sprezentowali broń. Kapitan podał amarantowe szewrony, dowódzca je przypiął na ramieniu Maćka.

I znowu bębny uderzyły, Maciek pijany z radości i dumy stanął przed nowo utworzonym plutonem.

Wywołano Bartka. I on za dzielny atak ze swymi kosynierami na piechotę moskiewską, został podoficerem w drugim plutonie strzelców. Kapitan został majorem i dalej poposuwano po jednym oficerze naprzód.

Oddział przedefilował przed dowódzcą, odbici rekruci wołali: Niech żyje Polska!

Po zjedzeniu krupniku i rozdzieleniu chleba i słoniny, dzielna garść naszych wojowników ruszyła z powrotem do Bodzentyna.

Wozy poszły z nimi. Powrót na Szydłówek stał się niemożliwym. Kosynierzy przyrzekli w niedostępnych miejscach wozy poprzenosić na swych barkach.

Doktor kazał Maćka znowu wsadzić na koń. Bał się, aby nie osłabł i gorączki nie dostał.

Maciek jechał przy swoim plutonie. Wpatrywał się w swych ludzi, chcąc z rysów ich twarzy odgadnąć dzielność i odwagę. Rozgadał się z nimi. Opowiadali wesoło swoje dzieje.

Wszyscy byli uczeni na książce, a jednak on nad nimi przewodził.

Zbliżył się do niego konno doktor, wyciągając na przywitanie rękę.

— Kazałem ci dać konia, abyś się nie marnował i odpoczął sobie, bo kto wie co nam wypadnie jutro, a takich głów jak twoja i takich dzielnych rąk jak twoje ojczyzna dziś potrzebuje.

— Gdym ją ujrzał w śnie — rzekł cicho Maciek — nie miała korony, ino gwiazdy nad czołem.

— Wy koronę na jej głowę włożycie! Wy, nikt tylko wy!

Doktor pojechał dalej, Maciek się zadumał.

— To ona, ojcowizna — powtarzał — bo gdyby to była Najświętsza Panienka, miałaby ci przecie niebieską koronę na głowie.

— Ojczyzna bez korony — odezwał się mimowoli głośno.

— Moskale koronę jej skradli — zawołał jeden ze strzelców pierwszego plutonu.

— Moskale koronę Polski ukradli — powtórzyli drudzy.

Jakim sposobem ukradli, nie miał Maciek pojęcia, lecz nie śmiejąc rozbierać dla siebie rzeczy niepojętych, wierzył.

W południe obóz stanął na szczycie odłamu Swiętokrzyskich gór. Po godzinnym odpoczynku, wśród brawury, wesołości i wielkiej ochoty, zaczęto się staczać na dół. Słońce jaskrawo świeciło, blask białego śniegu i brylantowych iskier ćmił wzrok... Wielkie, ciemne granity sterczały jak olbrzymy. Zdaleka widać było szeroką płaszczyznę i rozrzucone na niej wioski. Żywej duszy, na drogach pusto... Idącej garstce zdawało się, że życie i serce świata jest w niej.

Maciek rozważał, dlaczego chłopstwo nie ruszyło, jak ruszyli chłopi z Mirca, i ci panowie którzy obok nich siedzą we dworach?...

— La czego — powtarzał — wodząc dokoła wzrokiem. — Czy la tego, że się boją? Ej chyba nie, bo jakby wszyscy poszli, toby i strachu nie było.

Nie mogąc wyjaśnić tych kwestyi, nie zadawał sobie więcej pytań, gdyż i droga stawała się stromą, a przejścia zasypane śniegiem. Kosynierzy porobili siekierami łopaty i niemi odgarniali śnieg. Na drągach unosili wozy, przenosząc je w trudnych do przebycia miejscach.

Słońce chyliło się ku zachodowi, krwawiąc się i rzucając czerwone blaski na cały świat. Zdawało się ludziom, że krew rozlała się po śniegu a czerwona jej para obejmuje powietrze i drzewa.

— Niedługo poleje się krew — szeptali ludzie — inaczej słonko nie malowałoby tak okrutnie świata na czerwono. Schowało się, a jeszcze czerwień hula po niebie i ziemi!...

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Nasze illustracye.

(Zygmunt August w Lublinie 1569 r.)

Obraz przypomina ostatni sejm w Lublinie, na którym Zygmunt August uwiecznił imię swoje. Wpośród licznego grona najznakomitszych dostojników i wydatnych postaci historycznych, widzimy króla w szatach żałobnych, jakie często nosił od śmierci Barbary.

Na obliczu schorzały, bo już choroba nieuleczona go dotknęła, ale myśl wyższa opromienia całą postać. Nie długo też, bo w niespełna lat trzech zakończył życie, mając lat 52, w Knyszynie dnia 7 lipca 1572 r.



Wiadomości.

„Listy bez adresu“. Zajmującą broszurę L. B. pod powyższym tytułem nabyć można w ekspedycyi „Pracy“. Interesująca broszura ta, w której omówione są wszystkie niemal ważniejsze sprawy na czasie, kosztuje w oprawie 1,50 marek, z przesyłką 1,70 mk. Należność przyjmuje ekspedycya „Pracy“ i w znaczkach pocztowych.

Od Komitetu przygotowującego się wieca otrzymujemy następującą

Odezwę:

Na wielostronne życzenie, postanowiono u nas odbyć wiec z całego Księstwa, któryby przedstawił powszechną świadomość naszych krzywd i różne także wewnętrzne niedomagania.

Przygotowawcze prace do wieca tego podjęliśmy i zanim wydaną zostanie ogólna odezwa wielkiego Komitetu wiecowego, wzywamy już dziś wszystkich ludzi dobrej woli i świadomych położenia naszego rodaków, żeby się do odbycia wieca przyczynili poparciem urządzeń poniżej wymienionych.

Wiec odbędzie się 29 czerwca w Poznaniu, w lokalu, który się następnie bliżej oznaczy. Zjadą nań delegaci, już z bardzo wielu parafii wyznaczeni, i ochotnicy z wszystkich stron. Dla pp. delegatów wydane zestaną bilety, zapewniające im miejsce. Prosimy o podanie dokładne adresów, żebyśmy im na czas bilety przesłać mogli. Lista delegatów zamkniętą zostanie 15 czerwca. Od liczby zgłoszeń zależeć bedzie wybór lokalu.

Na wiecu wygłoszone zostaną liczne referaty. Będą referaty o szkole, o hakatystach, o prawie rentowem i upośledzeniu włościan polskich, o udziale Polaków w urzędach, o ograniczaniu polskich zabaw i pochodów, o naszych zażaleniach i petycyach, o naprawie obyczajów, a stałej instytucyi ogólnych wieców corocznych lub co dwa lata i t. p.

Ktoby przemawiać chciał na wiecu, powinien się jak najrychlej zgłosić do niżej podpisanego Komitetu i przesłać treść dosłowną swego przemówienia. Ktokolwiek się zgłosi do 20 czerwca, przypuszczony być może do głosu.

Dyskusyi na wiecu nie będzie, dla krótkości czasu, tylko zapadać mogą rezolucye przez aklamacyą. Rezolucye te następnie Komitet przekaże Kołom polskim i zrobi z nich użytek właściwy wedle okoliczności.

Referaty i rezolucye odznaczać się muszą zwięzłą krótkością, stanowczością, ale i umiarkowaniem co do formy

Poznań, 29 maja 1899.

Komitet miejscowy przygotowawczy:

Adam Woliński, przewodniczący. Włodzimierz Adamski. M. Andrzejewski. Albin Andruszewski. Teodor Andersz. Dr. Broekere. Stefan Cegielski. Dr. Jerzykowski. Dr. M. Kantecki. Władysław Kaczmarek. Dr. Kożuszkiewicz z Jeżyc. Karol Krysiewicz. T. Krause. Fr. Krysiak. Dr. Kusztelan. J. Kużaj. Jan Leitgeber. Jan Łagoda. Dr. Władysław Łebiński. Walery Łebiński. Radzca dr. L. Mizerski, poseł. Jan Murkowski. S. Ołyński. Jan Paczkowski. J. Rivoli. Dyr. M. Więckowski. Nikodem Wolniewicz. Józef Szmyt. Skowroński.

Od komitetu kolonii wakacyjnych w Berlinie otrzymujemy następującą odezwę:

„Pamiętajmy o dzieciach naszych!

Zbliżył się czas wycieczek poza miasto. Przy zabawie i rozrywce wartoby i dorosłym pomyśleć o tem, że dziesiątki dzieci polskich rzadko mają sposobność wyjechania na świeże powietrze i podziwiania natury.

A w czasie zbliżających się latowych wakacyi, czyż dzieci polskie będą miały sposobność oddychania przez kilka tygodni świeżem powietrzem pól i lasów?

Wiemy, że trudnem jest na razie utworzyć tu coś na wzór osad letnich dla dzieci poznańskich, choć dla niejednego z naszych żaczków, otoczonych ciągle niemczyzną, pobyt kilkotygodniowy wśród otoczenia *czysto polskiego* byłby zbawiennym i ułatwiłby niepomiernie pracę około utrzymania narodowości polskiej u naszego potomstwa; wiemy, że chwilowo to jest niemożebnem, ale cośkolwiek dla dzieci, choć w mniejszych rozmiarach, uczynić chcemy.

Na początku roku 1896 grono obywateli berlińskich powzięło myśl wysyłania dzieci polskich z Berlina na czas wakacyi w strony ojczyste i myśl ta doznała ogólnego poparcia tak, że już w pierwszym roku istnienia swego, wybrany w tym celu Komitet, był w stanie wysłać 54 dzieci. W drugim roku wysłano już 79 dzieci.

Niestety znaleźli się w Berlinie ludzie, którzy nie powstydzili się przez oszczerstwa, rzucone na jednego z dobrodziejów, zniweczyć dotychczasową, tak pięknie się rozwijającą działalność Komitetu. Zrażony trudnościami i przykrościami takiemi Komitet istniejący rozwiązał się.

Dopiero w ostatnim czasie zawiązał się na nowo Komitet z łona Towarzystwa

„Oświata“ i zajmować się będzie nadal koloniami wakacyjnemi.

Prosimy więc szan. Rodaczki i Rodaków o poparcie tak ważnej sprawy.

Datki na kolonie wakacyjne przesłać można do prezesa Komitetu p. F. Załachowskiego, Berlin, Gartenstr 150, lub składać na listy w tym celu wydane delegatom tutejszych towarzystw polskich. Zgłoszenia o przyjęcie dzieci na czas letnich wakacyi prosimy przesłać do prezesa Komitetu.

Berlin, 3 maja 1899.

Komitet Kolonii Wakacyjnych.

F. Załachowski. F. Masiota. S. Pluskota. L. Engel. Molski. S. Przybylski. M. Ziomek.“

Kupno. Pan Zygmunt Gąsiorowski nabył od p. Karola Kraszewskiego z Winiar i od spadkobierców radzcy Freudenreicha z Plewisk wszystkie tychże posiadłości pomiędzy drogą Dębińską a Wartą położone. Na złączonym tym areale zamierza p. Gąsiorowski utworzyć nową osadę, rozpoczynając od założenia parku olbrzymiego, w którym z czasem ma stanąć ozdobny zameczek.

Szczęść mu Boże na tem nadrzecznem przyszłem „Gąsiorowie“!

Towarzystwo Przemysłowe w Poznaniu nadesłało nam sprawozdanie ze swej czynności za 51-y rok istnienia, od 1. 4. 1898 r. do 1. 4. r. b., z którego następującą zamieszczamy notatkę:

W ubiegłym roku złotego jubileuszu okazało Towarzystwo wiele żywotności. Ruch objawił się mianowicie w staraniach około podniesienia naszego przemysłu, dalej w przygotowaniach obchodu jubileuszowego i w pielęgnowaniu życia towarzyskiego.

Dbając o przyszłość naszego przemysłu, zaliczało Towarzystwo jak dawniej, tak i w ubiegłym roku do celniejszych swych zadań danie młodzieży rzemieślniczej sposobności uzupełnienia wiadomości i rozszerzenia zakresu swej wiedzy. Myśl tę przeprowadziło urządzeniem w swej od blisko pół wieku istniejącej Szkole wieczornej kursów naukowych dla terminatorów i oddzielnych dla młodzieży, która już ukończyła naukę warsztatową, t. j. dla czeladzi rzemieślniczej.

Członków liczyło Towarzystwo w kwietniu 1898 r. 176, t. j. 3 honorowych i 173 czynnych. W ciągu roku przystąpiło 27 czynnych i wybrano 2 honorowych członków, panów radzcę Stanisława Mottego i Emila Kajkowskiego. Wystąpiło w tym czasie 9 członków. Ogólna liczba członków wynosi 196, z tych 5 honorowych i 191·czynnych. Umarło 5 członków.

Zmarli:

Ś. p. Cecylia hrabianka z Kościelca Działyńska w Poznaniu w 62 roku życia. Pani ta, po śmierci swej bratowej, ś. p. hr. Działyńskiej z Gołuchowa, zmarłej w Paryżu, była jedyną reprezentantką nazwiska Działyńskich, które umiała też godnie piastować.

S. p. ks. Antoni Szews, proboszcz w Trlągu, w powiecie mogilnickim, senior duchowieństwa dekanatu żnińskiego, przeżywszy lat 78.

S. p. Eustachy Brychczyński, przeżywszy lat 42, w Poznaniu.

S. p. Kazimira z Raszewskich Kapczyńska, przeżywszy 20 lat, w Wągrówcu.

S. p. Zofia Jerzykiewicz, przeżywszy lat 17, w Gnieźnie.

Niech spoczywają w pokoju!

Kalendarzyk historyczny.

4. 6. 1863. Moskale rozstrzelali Kononowicza we Warce.

6. 6. 1794. Bitwa pod Szczekocinami.

8. 6. 1794. Bitwa pod Chełmem.

8. 6. 1863. Walery Wróblewski pobił Moskali nad rzeczką Ścieścieżem.

Zagadka premiowa

z historyi polskiej).*

Kiedy i gdzie odbył się ostatni sejm polski i jaki z zagranicznych ambasadorów odgrywał na nim główną rolę?

Rozwiązanie zagadki z nr. 21-go:

Rok i wiosna, lato, jesień, zima.

Dobre rozwiązania posypały się jak z rogu obfitości z blizka i z daleka. Dla braku miejsca tym razem bardzo długiego spisu osób zamieścić nie mogliśmy. Także nadesłano nam rozwiązania w wierszach, z których zamieszczamy następujący udatny, przysłany nam przez p. Bolesława Barciszewskiego ze Św. Łazarza:

Rok - ojczulek dla córulek
Daje dar bogaty,
Wiośnie wience, kwiat, rumieńce,
Lecie złote szaty.
Jesień chleba, ile trzeba,
Uśmiech jabłuszkowy,
Tylko zima wdzięków nie ma,
Lecz posag gotowy.
Ja bo wiośnie już miłośnie
Tylko adoruję,
Pytam przecie, której w świecie
Kto więcej hołduje?

Z Budapesztu nadesłał nam rozwiązanie p. J. Łukomski w następującym znanym pięknym wierszu:

Wszystko do celu dąży na świecie
Drogą przed wieki wskazaną,
Wiosna po zimie, jesień po lecie,
Stałą nas darzy przemianą!
Więc dalej do pracy i t. d.

Nagrodę otrzymali: pp.: 1) J. Fabiś i 2) E. Płotkowiak z Poznania, 3) A. Glińska z Grodziska, 4) W. Jakubowski z Swinkowa, 5) J. Labudda z Heytus (?), 6) J. Bednarz z Kluczborka, 7) J. Duballa z Borsigwerk, 8) W. Szklarski z Berlina, 9) K. Skalski z Berlina i 10) W. K. Dąbkowski z Wiednia.

*) Przeznaczamy za dobre rozwiązanie jedną nagrodę, t. j. książkę wartościową. Los rozstrzygnie komu nagroda przyznaną będzie. — Rozwiązania przyjmujemy tylko do wtorku rana, dnia 6-go b. m.

Od Administracyi.

P. Drąszkowski, Gdańsk. Odpowiedniego klisza nie mamy.

Adolf Leichtentritt
Hurtowny handel win
poleca swe
stare wina węgierskie,
Bordeaux, reńskie i mozelskie,
franc. i niemieckie szampany,
jakoteż **koniaki** pod gwarancyą po najniższych cenach hurtownych.
Rycerska ulica Nr. 39. Telefon Nr. 576.
228 Usługa polska.

Nowość!!!

Darmo!! otrzyma każdy swoją własną pięknie wykonaną fotografią na tarczy swego zegarka, jeżeli takowy **u mnie** jest kupiony. 98

Już za **mk. 8,75** nabyć można u mnie zegarek srebrny z portretem jakimkolwiek.

Przy zamówieniu proszę dołączyć fotografią i podać cenę oraz rodzaj zegarka.

Na żądanie przesyłam cenniki **z zegarkami zaopatrzonemi w podobne fotografie.**

Zamówienia proszę przesyłać pod adresem:

J. Strzelecki, Mogilno.
Wielki skład zegarków i biżuteryi
w Inowrocławiu i Mogilnie.

Wielki wybór zegarków z wizerunkiem Matki Boskiej z orzełkiem i pogonią.

Zakład dentystyczny.
Kaźmierz Perkitny
ulica św. Marcin nr. 26 I.
Polecam się do wykonania 180
wszelk. prac dentystycznych.
Specyalność:
Zęby sztuczne bez płyt, plomby złote,
dalej wykonuję wszelkie **operacye zębów bez namniejszego bólu.**
Ceny jak najprzystępniejsze.



Założony 1345 r.
Najstarszy warsztat i skład obuwia
w Poznaniu poleca:
Nowość! Buciki wynalazku Krügera, patentem opatrzone, **do wiązania** jednem pociągnięciem sznórówki otwierane zamykane, własnego wyrobu.
Nowość! Buciki Lawe'go z materyi przejrzystej (warsztacikowe) dotąd niebywałe i niesłychanie wygodne dla cierpiących na nogi.
Sudoral! z apteki Petersa w Dreznie bardzo skuteczny środek ku poceniu się nóg i innych części ciała, zawsze na składzie, fl. 1 Markę, przepis gratis.
Wszelkie zamówienia i reparacye wykonuję spiesznie i akuratnie. 160
Wielki wybór! *Usługa rzetelna!*
K. MAY, Wilhelmowska ul. 21,
obok hotelu Rzymskiego.

Do Zakładu pracy domowej w Śremie (Schrimm Prov. Posen) przyjmuje się nowe uczennice z dniem 1-go Lipca. 222

Dom Polski w Copotach
(Zopott Südstr. 71 a. b. c. 72.) poleca na sezon kąpielowy **mieszkania** większe i mniejsze oraz pojedyńcze pokoje. **Cena pokoju wraz z całodziennem utrzymaniem począwszy od mk. 5-ciu** za dobę. **Całodzienne utrzymanie** bez mieszkania **mk. 3,50. Obiady** w abonamencie po **mk. 1,50. Mieszkanie bezwarunkowo suche. Położenie nader piękne:** tuż nad morzem przy parku, bliziutko kurhauzu i kąpielni. 236
W czerwcu i od 15 września ceny mieszkań zniżone.

Potrzebna od 1. 7. r. b.
rządzca gosp.
sam, samodzielny, biegły w piórze, w obu językach, obeznany dokładnie z polaryzowaniem buraków cukrowych na 1500 mk. etc. do Polski blisko granicy.

Urzędnik gospod.
samotny, biegły w korespondencyi niem. na 800 mk. etc. do **Polski.**

Urzędnik gosp.
samotny, dobrze polecony na znaczną pensyą do większych dóbr.

Gorzelnik
samotny. w starszym wieku, obeznany z prowadz. książk. gosp. i biegły w piórze do znacznej gorzelni.

Urzędnik gosp.
sam. z dobremi rekomendacyami na 400 mk. etc.

Pisarz gospodarczy
sam., dobrze polecony do znacznych dóbr na 400 marek i wolne utrzymanie.

Leśnik
żon., dobrze polec., obeznany z książkowością etc. na 600 mk. i dep. do znaczn. polsk. majątku w Księstwie.

Leśnik
żon., dobry strzelec na 120 rubli i deputat do Polski.

Ogrodnik
sam., z dobr. świad., na 150 rubli etc. do Polski blizko granicy.

Kowal
żon. (bez zaciężn.) zdolny fachowiec na 50 tal. i deputat. Spieszne zgł. przyjm. z odpis. świadectw.

Centralne Biuro Zleceń
Poznań, Rycerska 38.

Rządzca gospod.
żon., biegły w piórze, obeznany gruntownie z parową gorzelnią, cegielnią, mączk. itd., najchlubniej polecony, 16 lat w posadzie poszukuje umieszczenia od 1. 7. r. b. Bliższe szczegóły poda bez wszelkich kosztów

Centralne Biuro Zleceń
Poznań, Rycerska 38.

Gorzelnik
żonaty, 1 dziecko, doskonały fachowiec, obeznany jaknajlepiej z reperacyami machin parowych itd., obecnie 8 lat w posadzie poszukuje miejsca od 1. 7. r. b.
O łaskawe zlecenia uprasza
Centralne Biuro Zleceń
Poznań, Rycerska 38.

Zakład przygotowawczy i pensyonat
Sonneck'a, Berlin, Oranienburgerstr. 73.
Gruntowne przygotowanie do wszystkich klas, szczególniej do egzaminów na stopień **chorążego, jednorocznego i ochotnika,** z właszcza zaś dla prymanerów i **abituryentów.**
Uczniowie szkół elementarnych zdają po pół, 1, 1 i pół rocznym przygotowaniu egzamin do jednorocznej służby, po 5 ratach egzamin abiturencki. Rekomendacye m. i. od wielm. posła do sejmu ks. Franka w Berlinie. 175

Obrazy
z pierwszorzędnych zakładów artystycznych religijne, narodowe i rodzajowe, oryginalna akwarela Wład. Szernera. „Ostatni kulig Sobieskiego" podług obrazu prof. Brandta.
211
Oprawę obrazów
w ramy stylowe, gotowe ramy do obrazów i fotografii, artystyczne karty korespondencyjne. lustra, szkło szybowe i szklarnią budowlaną poleca
M. Nowicki & R. Grünastel
Poznań, plac Wilhelmowski Nr. 3.

231
St. Brzeski,
Poznań, św. Marcin Nr. 64.
Warsztat elektro-mechaniczny.
Biuro instalacyjne
telefonów, światła i dzwonków elektrycznych, gromochronów i t. p.
Handel i fachowy warsztat welocypedów.
Gen. zastępstwo kołowców i automobili
„Falke."

W mieście powiatowem, liczącem 5000 ludności w polskiej okolicy Księztwa Poznańskiego w bardzo ożywionem miejscu, blizko dworca koleji, jest od 1-go maja 1900 r. 234
Hotel
połączony
z wyszynkiem, zajazdem, i ogrodem publicznym.
pod korzystnemi warunkami do wydzierżawienia. Reflektanci, z tym zawodem obeznani, będą mieli pierwszeństwo. Zgłoszenia przyjmuje Ekspedycya „Pracy" pod lit. **A. U. nr. 200.**

OBUWIE 194
w najnowszych fasonach i kolorach nadzwyczaj lekkie, przytem trwałe.
Specyalność na cierpiące nogi!
Ceny nader niskie.
W. Subera, Wrocławska ul. Nr. 37.

Właściciel i wydawca: M. Biedermann w Poznaniu. — Redaktor odpowiedz.: Bolesław Rakowski w Poznaniu. — Czcionkami Drukarni „PRACY“ (M. Biedermann) w Poznaniu, Rycerska ul. 38
4 maszyny pospieszne, pędzone siłą elektryczną; z urządzeniem introligatorskiem.